MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVIII. Nr. 23 WARSZAWA, 29 MAJA 1938 R. CENA NUMERU 80 GR.

MŁODOŚĆ ROMANA DMOWSKIEGO

(Odczyt wygłoszony dnia 20 lutego 1838 r w Auli Uniwersytetu Jagiellońskiego na Akademii Młodzieży Wszechpolskiej dla uczczenia jej piętnastoletniej działalności).

I

HENRYK Rzewuski, człowiek pod względem moralnym nie ciekawy, ale pod względem umysłowym wcale nie pospolity, myślący, ze szczególnym upodobaniem wgłębiający się w charakterystykę innych ludzi i całych narodów, powiedział kiedyś, że „Polak niczego tak się nie lęka, jak obmowy i potwarzy, nawet tych, którymi pogardza; nie ma ofiary, coby jej nie był gotów uczynić dla rozpowszechnienia dobrej o sobie opinii, nie tylko poważniejszych towarzystw, ale nawet uliczników".

Jeżeli to prawda, to Roman Dmowski jest Polakiem wyjątkowym. Sypały się na niego i do dziś dnia sypią się obmowy i potwarze, a on milczał i do dziś dnia milczy. Dlaczego? Czy może dlatego, że w dumnym i szlachetnym przeświadczeniu o swoich wielkich zasługach narodowych, miałby prawo mówić sobie z Kochanowskim: „A co mi za żywota ujmie czas dzisiejszy, to po śmierci nagrodzi z lichwą czas późniejszy"? Nie! On z pewnością wie doskonale, że im dalej w czas, tym więcej będzie w Polsce ludzi, którzy za to, co dla niej zrobił, będą mu płacili nie tylko wdzięcznością i miłością, ale czcią i uwielbieniem.

Wie także doskonale, co jest bodaj czy nie najgłówniejszym źródłem tych obmów i potwarzy: oto są ludzie, którzy wybitnemu, a cóż dopiero tak wyjątkowo wybitnemu, jak Dmowski wybaczą wszystko, nie wyłączając obrazy honoru, z jednym wszakże wyjątkiem: nigdy nie zapomną mu tego, że nie oni, tylko on miał słuszność.

A przecie nie obmówcy i potwarcy Dmowskiego, tylko on miał słuszność nie tylko w swoich trzeźwych i jasnych sądach o teraźniejszości, ale i w swoim przewidywaniu przyszłości. Kiedy się czyta jego książkę pt. „Niemcy, Rosja i kwestia polska", a nadewszystko kiedy się weźmie pod uwagę jego działalność podczas wojny, to mimowoli przypomina się to, co Tucydydes powiedział o Temistoklesie: „Często wysnuwał trafne wnioski o przyszłoszci i wyniknąć stąd mogące następstwa szczęśliwie odgadywał; sprawę równie jasno ułożyć i prowadzić umiał; rozumem nadstarczał, w czym mu na doświadczeniu zbywało; w rzeczach wątpliwych przewidywał, co najgorszego i co najpomyślniejszego zdarzyćby się mogło; nakoniec siłą wrodzonego geniuszu, bystrością rozumu, dociekał odrazu, do czego innym długiego namysłu potrzeba" [1]) i, dodajmy od siebie, do czego innym nawet długi namysł nie pomoże.

Otóż to wszystko jeszcze nie tłumaczy nam, dlaczego Dmowski zachowuje tak wielki spokój i to nie tylko wobec tych, którzy, rozumiejąc jego zasługi, wielbią go i kochają, ale i wobec tych, którzy, nie rozumiejąc ich, (albo też rozumiejąc, lecz bojąc się z zazdrości przyznać, że rozumieją) milczą o nich grobowo albo nawet nienawidzą go i potwarzą. Oto patriotyzm jego posiada jedną wspaniałą, tak rzadką, nie tylko w Polsce, ale i na całym świecie, cechę, tę mianowicie, którą określił wielki odrodziciel oświaty polskiej, Stanisław Konarski, wkładając w usta bohatera swojej tragedii, Epaminondasa, te słowa: „Sprawiedliwości nie chcę! Nikt mi nic nie winien: uczyniłem, co byłem uczynić powinien; czyż słusznie o nagrodę taki się odzywa, który tylko powinność swoją wykonywa? Nie masz zasług: to, co my zowiemy zasługi, są tylko ku Ojczyźnie wypłacone długi. Ojczyzna nic nam nie jest winna: Ona — pani, my — jej więźnie, jej sługi, jej obowiązani... Jej więc wolno krwi, ozdób, fortun naszych zażyć, my powinniśmy dla niej wszystko z życiem ważyć, nie żebyśmy się od niej dopominać nowych wdzięczności mieli lub nagród jakowych".

Przyszły biograf Dmowskiego będzie miał prawo umieścić te słowa, jako motto życiorysu, bo on naprawdę wszystko, co dla Polski zrobił,

poczytuje nie za zasługę, którąby tak czy inaczej nagrodzić czy uczcić należało, tylko za prostą spłatę zaciągniętego względem Ojczyzny długu. Czy nie dziwny człowiek?

My jednak, ludzie mniej dziwni, nigdy nie zgodzimy się na to, żeby ten człowiek zasług wobec Ojczyzny nie położył, jakie — to wiemy wszyscy. Więc zamiast o nich mówić, niechaj wolno będzie kilka słów o tym, o czym prawie nikt nie wie, o jego dzieciństwie, o jego młodości, o jego latach szkolnych, uniwersyteckich i o kilku latach pouniwersyteckich. A proszę wierzyć, że to wszystko, co się tutaj powie, jest oparte albo na ustnej, nigdy nie zapisanej opowieści samego Dmowskiego, albo też na wspomnieniach mej własnej młodości i znajomości tej atmosfery, którą Dmowski oddychał w szkole średniej i w uniwersytecie warszawskim za najgorszych czasów jarzma rosyjskiego w Królestwie, kiedy to na czele szkolnictwa stanął w roku 1879 Apuchtin, a wkrótce później na czele całego kraju — generał Hurko.

*

Roman Dmowski, urodzony dnia 9 sierpnia r. 1864, pochodził po ojcu Walentym z drobnej, zubożałej szlachty podlaskiej, a po matce, Józefie Lenarskiej, z drobnego mieszczaństwa warszawskiego. Ojciec zarabiał ciężko na kawałek chleba, jako robotnik brukarski na Pradze pod Warszawą, później jako drobny przedsiębiorca i właściciel kawałka gruntu z domkiem, który spłonął podczas bitwy pod Grochowem. Rodzeństwa było siedmioro; dziś żyje jeden już tylko Roman. W rodzinie panowała wytężona praca i oszczędność, połączona z bardzo surową, iście staropolską dyscypliną wychowania dzieci, które zaznawały więcej plag, aniżeli pieszczot. Roman był dzieckiem chorowitym: mięśnie na szyji nie mogły utrzymać głowy na karku — długo nosił ją spuszczoną na piersi; ale zabawy na świeżym powietrzu wzmocniły go — i do dziś nosi, no, i ma głowę na karku.

Umysłowo rozwijał się bardzo szybko — w piątym roku życia sam nauczył się czytać i kobiety przepowiadały mu, że będzie z niego ksiądz i kaznodzieja. Uczył się od dziewiątego roku życia w szkółce elementarnej na Pradze, (jeszcze przed rusyfikacją szkolnictwa), potem w trzyklasowej szkole miejskiej w Warszawie, a w r. 1876 wstąpił do pierwszej klasy gimnazjum III w Warszawie. Ja w tym samym roku wstąpiłem do drugiej klasy gimnazjum V, ale co się dzieje w trzecim, wiedzieliśmy doskonale: nie było innego gimnazjum, w którymby usiłowania rusyfikacji były tak gorliwe i niegodziwe; wszyscyśmy słyszeli o straszliwym nikczemniku, jakim był nie dyrektor tego gimnazjum, Sołncew (bo ten był niedołęga), ale inspektor Troicki. Na szczęście, z wyjątkiem języka rosyjskiego i historii Rosji, wszystkich innych przedmiotów uczyli jeszcze Polacy, a wśród nich późniejszy profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego językoznawca Lucjan Malinowski, oraz inny językoznawca, Hieronim Łopaciński.

W pierwszych latach gimnazjalnych Dmowski odznaczał się, i to bardzo wybitnie, próżniactwem; w drugiej, trzeciej, czwartej klasie siedział po dwa lata. Od klasy piątej dopiero wziął się do roboty — ostrogą była mu pochwała prof. języka polskiego Skrzetuskiego, który, oddając Dmowskiemu wypracowanie domowe oznajmił wobec całej klasy: „Sienkiewicz był moim uczniem i Dmowski jest moim uczniem". Było to już w roku 1883, kiedy w odcinku „Słowa" zaczęło się ukazywać „Ogniem i mieczem". Z innych przedmiotów szkolnych przykładał się zwłaszcza do języków starożytnych; łacinę — dzięki pełnej zapału lekturze autorów rzymskich — owładnął tak, że do dziś dnia improwizuje niekiedy mowy łacińskie, do złudzenia naśladując styl Cezara; nie tak to dawno jeszcze, kiedy jeden z przyjaciół, także wychowaniec gimnazjum rosyjskiego w Warszawie, odpowiedział mu na zebraniu towarzyskim mową w stylu Cycerona. Lecz nauka szkolna Dmowskiemu nie wystarczała. Już w klasie czwartej czy piątej, wraz ze swym kolegą Władysławem Korotyńskim (późniejszym redaktorem „Kuriera Warszawskiego") założył kółko uczniowskie pod nazwą S t r a ż n i c a, którego celem było kształcenie się w przedmiotach, zaniedbanych albo i nie dopuszczonych w gimnazjum rosyjskim; zwłaszcza w historii, geografii i literaturze polskiej, oraz w naukach przyrodniczych. Kółko miało swoją bibliotekę, w której, pomiędzy innymi, były dzieła Buckle'a, Drapera i Spencera; że się uczniowie zaczytywali w „Prawdzie" Świętochowskiego i w „Przeglądzie Tygodniowym" Wiślickiego, to jasne — pochłanialiśmy te pisma wszyscy — ku zgorszeniu księży prefektów.

Jeden szczegół z działalności owego Kółka warto tu przytoczyć. Kiedy pewien kolega zaczął na zebraniu propagować socjalizm, Dmowski na zebraniu następnem wygłosił odczyt pt. „O stronnictwach politycznych i stosunku młodzieży do nich"; uzasadniał tu swój pogląd, że młodzież szkolna powinna się tylko uczyć, a nie wdawać się w politykę — z wyjątkiem walki z duchem policyjnym szkoły i z rusyfikacją. Tę walkę rozpoczął Dmowski już w gimnazjum, a bronią jej były, pomiędzy innemi, wierszyki satyryczne, które obiegały po wszystkich gimnazjach warszawskich. Jeden z nich miał tytuł „D z i e s i ę c i o r o p r z y k a z a ń". Kończył się tak: „Będziesz miłował wszystko, co cie z grzechu myje, — więc i bat; całuj rękę, co tym batem bije; — miłuj bliźniego swego, donosząc na niego; jeślibyś nie donosił, bieda będzie z tego; jeśli będziesz posłuszny, jako syn zależny — to za to ci powiedzą, żeś b ł o g o n a d z i e ż n y".

W roku 1883 umarł Dmowskiemu ojciec; rodzinie bieda zaświeciła w oczy; Roman musiał zapracowywać się korepetycjami i uszczuplać sobie godzin snu, ale pracować nad sobą nie przestał; czytał trochę mniej, lecz myślał coraz więcej — i ta cecha pozostała mu do dziś dnia; mało było i jest ludzi w Polsce, których myśl byłaby tak samodzielna i śmiała.

Po ukończeniu gimnazjum w 22 roku życia zapisał się w Uniwersytecie Warszawskim na wydział przyrodniczy.

Zaczęła się w jego życiu, jak to sam nieraz będzie później opowiadał, nowa epoka, a to dlatego nadewszystko, że skończyły się upokorzenia, jakich doznawał od profesorów, a czasem i kolegów, którzy nieraz szydzili z niego, że jest „zapóźnionym nieukiem", że jest pełnoletni, a nie ma jeszcze matury.

Kraków IGNACY CHRZANOWSKI

(Dok. n.)

NAŚLADOWNICTWO ZASTRZEŻONE!

ISTNIEJE niebezpieczeństwo całkiem groźne, na które należy zwrócić baczniejszą uwagę. Myślę tutaj o pewnych prądach, które pojawiły się w ostatnich czasach w literaturze francuskiej i które nie tylko, że nabierają coraz to groźniejszych tonów, ale które z coraz większą siłą poczynają infiltrować do Polski. Niebezpieczeństwo zaś staje się jeszcze groźniejsze, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że infiltracja ta dokonuje się także na odcinku literatury katolickiej. Polskiej literatury katolickiej — powiedzmy to sobie — nie mamy, znajduje się ona dopiero w powijakach. Znając równocześnie polską skłonność do naśladowania wszystkiego co przychodzi z zewnątrz, z zachodu, stajemy wobec groźby, że cały ten balast ideowy może spaść niespodziewanie na nasze barki. Balast którego sobie zupełnie nie życzymy.

Literatura francuska powojenna to wielkie starcie się dwóch prądów biorących, zresztą swoje źródło w epoce poprzedzającej wojnę. Jest to fakt dla obu prądów bardzo charakterystyczny, że wywodzą się z epoki przepojonej pozytywizmem i liberalizmem. Zarówno humanitarno-demokratyczny ruch, któremu po France'ie i Rolland'zie patronuje Gide, jak również spekulatywny katolicyzm, reprezentowany w swych najlepszych przejawach w twórczości Claudela a niepokojący w wywodach Maritain'a nie powstały w okresie powojennego przełomu. Kierunek pierwszy, zaczerpnąwszy soków z ostatków wielkiej rewolucji francuskiej, z humanitaryzmu Victora Hugo, poprzez „stendhalizm" i „balzakizm", poprzez naturalizm i pozytywizm wieku wielkich doktryn, przeładowany „uczonością" będącą jedną z form chorobliwego egocentryzmu człowieka, liberalny lecz równocześnie poddający się prawom determinizmu, „idealistyczny" bo oparty na ideałach ale skrajnie materialnych stworzył sobie oblicze liberalno-pacyfistyczne, ukształtowane na wierze w bliżej nieokreślony „postęp", w płynność wszystkich form i zasad, w twardy determinizm ewolucji. Wypłynąwszy na wody literatury znalazł swoje odbicie w rewolucyjnych „*Les caves du Vatican*" i w pesymistycznym „*L'immoraliste*", które głosiły hasła wyzwolenia jednostki od balastu dogmatów, gdy równocześnie w dziele Prousta egolatria i obłędne zagubienie się we własnym „ja" święciły triumf, kładąc podwaliny pod aspołeczną w gruncie rzeczy melagomanię indywidualną. Jeżeli Gide pozostał wierny nie tylko zasadzie, która każe wydrzeć jednostkę z masy, rzucić ją na powierzchnię płynącej rzeki ewolucji, lecz także umiał sięgnąć ku najgłębszym składnikom indywidualizmu, jeżeli także potrafił te same linie utrzymać Duhamel, to u pisarzy wyraźniej socjalizujących indywidualizm został spłycony i sprowadzony niemal wyłącznie do jakichś biologicznych cech. Od stojącego jeszcze na pograniczu Barbusse'a do katastrofalnego upadku, jakim stała się twórczość Céline'a — toczy się wóz ewolucji artystycznej przedstawicieli tego kierunku, próżno usiłując — nie zrezygnowawszy z mechanicznego światopoglądu — przywrócić jednostce jej miejsce w zespole, lub wynaturzając się w jakieś panseksualne bytowanie Costalsa, bohatera książek Montherlanta.

Z drugiej strony kierunek katolicki oparty nie na przepięknej lecz zapomnianej filozofji E. Hello, ale starający się porozumieć z przeciwnikami i znaleźć z nimi wspólną platformę myśli. Odradzający się katolicyzm pozostaje niezrozumiany. Syn ubogiej wyplataczki krzeseł Karol Peguy, umierający przez lata z głodu a potem zabity pod Villeroi, nie zdołał stać się czymś więcej, niż przywódcą duchowym małej grupy. Nawrócony na katolicyzm wnuk wielkiego Renana E. Psichari poległ pod Rossignol zbyt wcześnie, bo zaledwie zdoławszy sobie naszkicować własny światopogląd. Cudownie niemal nawrócony Paweł Claudel — indywidualność wielka, lecz bez zdolności kierowniczych — nie skupił wokół siebie większej ilości uczniów. To też młoda powojenna literatura katolicka zmuszona jest tworzyć na podłożu, które przerosła psychoanaliza Prousta i które przepoił cyniczny liberalizm Gide'a. Powojenna Francja artystyczna znajduje się w tym samym położeniu co i Polska t. zn., że garść ludzi, obcych duchem tradycji i ideałom starej Francji, Francji „*gestae Dei per Francos*", Francji Ludwika i Joanny, uważana jednak za areopag i najwyższą wyrocznię w sprawach sztuki, narzuca swoje zdanie całemu narodowi, utala swoje kryteria i zmusza, by autorzy do nich się przystosowywali, grożąc w razie oporu bojkotem i zarzutem „braku talentu".

Pisarz więc nawet katolicki, dbając o zdanie tej wyroczni, musi być liberałem i wrogiem dogmatów, musi wyrzec się budowania na uczuciach dobrych (słynne zdanie Gide'a), musi zachować osobiście pełny obiektywizm (a właściwie indeferentyzm) w stosunku do wierzeń swoich bohaterów, musi wreszcie uznać prymat materializmu przynajmniej w sprawach ziemskich.

O ile E. Bauman, R. Bazin, H. Bordeaux oraz poeta F. Jammes świadomi trudności — a w rzeczywistości niepodobieństwa — jakim by było wcielenie takiego katolicyzmu, oddalają się rozmyślnie od „prawdy życiowej", tworząc w duchu oportunistycznego fideizmu, o tyle uczniowie ze szkoły Gide'a — w pierwszym rzędzie F. Mauriac — dążą do pogodzenia obu sprzeczności. W tym samym czasie gdy Malraux, przyjmując socjalizm dogmatycznie, zdradza swego mistrza, Mauriac stara się za wszelką cenę zachować oparcie u autora „*Si le grain ne meurt...*". Jego twórczość zepchnięta na rzekomo „antydogmatyczny" a w rzeczywistości posiadający swoje własne dogmaty szlak grzebania się w bagnie ludzkim nabiera głęboko artystycznych — lecz, niestety — jednostronnych tonów. Mnożą się pod jego piórem postaci wynaturzone jak Felicja Cazenave, Jean Polouyre, Teresa Desqueyroux, Maryan, Hieronim, Ludwik (bohaterowie wspaniałych „*Trois Recits*"). Jednostronność — że tak powiem negatyw obrazu — sprawia, iż pisarz spotykać się poczyna z zarzutami ideologicznemi ze strony czytelników katolickich. Trzeba wybierać — i wtedy powstaje najlepszy artystycznie ale beznadziejny ideologicznie utwór Mauriaca: „*Dieu et Mammon*". Autor próbuje znaleźć punkt styczny między wymogami sztuki, lecz napotkawszy na trudność cofa się do

źródeł, z których czerpał religię, do pism Pascala i zaczerpnąwszy z tamtąd jansenistycznej odżywki buduje — z pomocą Maritaina — swój charakterystyczny światopogląd.

Urodziwszy się w katolicyźmie, jesteśmy w nim uwięzieni i nic nas od niego nie uwolni. „Nigdy nie utraciłem wiary — pisze Mauriac — choć moim skrytym pragnieniem było ją utracić, by potem móc ją odzyskać... Musiałem za wszelką cenę ustalić swoje stanowisko względem katolicyzmu. Tak czy inaczej trzeba się było z nim pogodzić, trzeba było żyć". (*Dieu et Mammon*).

Życie jest ponurą otchłanią w której cierpimy ukrzyżowani, trędowaci (Peloueyre). Wyjść zeń o własnych siłach jest niepodobieństwem. Próżny trud. (Teresa Desqueyroux, Maryan, Jan-Paweł). Lecz możemy być wydobyci na „wierzch" wbrew nam samym (Ives Frontenac, adwokat z „Noeud des viperes", Irena Blenauge), Świętość jest stanem nadludzkim i dlatego aby ją zdobyć a choćby zrozumieć trzeba stanąć poza życiem. „Kto pisze powieść o świętości, ten już nie tworzy ludzi, ale kusi się o to niezwykłe szaleństwo naśladowania działania Łaski Bożej na dusze ludzkie. I tu — jak mniemam — powieściopisarza zawsze zwycięży rzeczywistość: rzeczywiste życie świętych... To, że tylu pisarzy, chcąc, nie potrafiło ożywić świętych, dowodzi ich nieumiejętności odmalowania wzniosłości, anielstwa i nadczłowieczeństwa, jedyną zaś ich szansą było przedstawienie tego — co — mimo świętości pozostaje w człowieku ludzkim i co stanowi dziedzinę pisarza. (*Dieu et Mammon*). Między ideałami świętości a ideałami życia istnieje sprzeczność zasadnicza. Wprawdzie ideały ziemskie są mrzonką, gdyż przeznaczeniem człowieka jest cierpienie, lecz ideały niebieskie nie każdemu są dostępne. „Szczęśliwy kto potrafi jednym rzutem przekroczyć przepaść by upaść po drugiej stronie w blasku świętości... Świat ma po stokroć rację, gdy odrzuca chrześcijan, a nie rozumie ich tragedii, która tkwi w tym, że nie umieją się zdecydować i przyczepieni do stoku góry Tabor ani się nie wracają ani też nie próbują dążyć w górę". Bo „chrystianizm jest jednocześnie religią prawdziwą i nie praktyczną". (*Dieu et Mammon*).

Trzeba więc czekać aż zostaniemy wezwani i wybrani, trwając z twarzą odwróconą od życia. „Kto ośmiela się pisać, że chrystianizm wzywa jedynie dusze, zapominając o ciałach? — Nie mam odwagi do tego się przyznać, mogę tylko spuścić głowę". (*Dieu et Mammon*).

Z chwilą gdy u Mauriaca istnieje zasadnicza sprzeczność między celami i interesami życia a celami i interesami duszy, musi powstać rozdźwięk lub — kompromis. Nie bez pewnej racji pisze do niego Gide:

„Racine dziękuje Bogu za to, że pociągnął go ku sobie p o m i m o wszystkich jego tragedyj i wolałby aby nigdy nie były one napisane a raczej spalone... Stara się pan o prawo noszenia miana chrześcijanina bez potrzeby palenia swych dzieł; są one pisane w ten sposób, że będąc chrześcijaninem nie potrzebuje się pan ich wypierać. Temu wszystkiemu (a to jest pocieszający kompromis, który pozwala kochać Boga i nie tracić z oczu złotego cielca) zawdzięczamy tę bolesną świadomość, która cechuje pańskie oblicze i pańskie utwory, zyskując panu tylu wielbicieli, bo wielu ludzi, nienawidząc grzechu, czułoby się bardzo nieszczęśliwymi, gdyby się nie mogli nim interesować".

*

Za Mauriaca odpowiadał Maritain. Ten pisarz niewątpliwie bardzo zdolny, słynny jednak z wypowiadanych sprzeczności, słusznie zwrócił uwagę, że katolicyzm w sztuce jest w pierwszym rzędzie katolicyzmem człowieka a nie katolicyzmem sztuki:

„Jeżeli chcecie stworzyć dzieło chrześcijańskie, bądźcie chrześcijanami i szukajcie sposobu stworzenia dzieła pięknego, w które przejdzie wasze serce... Dzieło chrześcijańskie wymaga aby artysta, jako człowiek, był świętym". (*L'art et scholastique*).

Stanowisko to jest słuszne ale nie wystarczające. Filozofia Maritaina — w wielu wypadkach ocierająca się o jansenizm i o manicheizm — wznosi się na bardzo charakterystycznym fundamencie. Pisarz — choć w mniejszym niewątpliwie stopniu, niż Mauriac, potępia naturę — jakoś nie może się pogodzić z opinią św. Pawła: że „nic nie ma nieczystego z siebie". (Rom. 14,7) i że „wszystko cokolwiek Bóg stworzył dobre jest" (I. Tym. 4,4). Stąd punktem wyjścia jest dlań nie natura święta, skażona przez grzech, ale natura jako taka, którą dopiero trzeba podnieść na wyższy poziom dzięki łasce. Jako wynik takiego podejścia mamy rozdział na cywilizację i cywilizację chrześcijańską, na kulturę i kulturę chrześcijańską, sztukę i sztukę chrześcijańską.

Jest to stanowisko, które wywołuje i wywoływać zawsze będzie zastrzeżenia oraz nieporozumienia. Stanowi przykład niewłaściwie pojętego scholastycyzmu. Wiemy ze Starego Testamentu, że „wszystko co Bog stworzył dobre jest" (*Genesis*) zaś zło istnieje tylko jako brak dobra. Jeżeli byt człowieka na ziemi ma jako swój cel główny chwałę Bożą i mnożenie dobra we wszechświecie (św. Augustyn) to też każdy czyn ludzki, pozornie nawet całkowicie obiektywny, w rzeczywistości służy wielkim celom Bożym. Człowiek — obdarzony wolną wolą — a pozbawiony w skutek grzechu pierworodnego poczucia równowagi trwałej — musi czynowi swemu — w założeniach dobremu — odebrać ten dobry cel (co nie znaczy, że cel mimo to aie zostanie wykonany). Powstaje wówczas — przez samo zaniechanie dobra — czyn zły. Działalność artystyczna — zajmujemy się przecież w tej chwili tym tylko odcinkiem — jest więc w swych założeniach zawsze dobrą jako zmierzającą do skłonienia ducha ludzkiego ku pięknu Bożemu i jako oddająca chwałę Bogu. Gdy człowiek pozbawi cel Boga, działalność automatycznie staje się złą i musi albo ulec wcześniejszej, czy późniejszej dekadencji albo też zacznie zdradzać — nieświadomie często dla artysty — ślady pragnienia powrotu. Nie ma więc miejsca dla pojęć obiektywnych, dla dzieł, które jak powiada Maritain, są „celem same w sobie". O obiektywiźmie możemy mówić — z całą świadomością, że jest to fikcja myślowa — w odniesieniu do samego rodzaju działalności ludzkiej.

Mauriac pocieszony przez Maritaina, lecz głównie pod naporem zmian, które poczynają nurtować społeczeństwo katolickie — zmienił do pewnego stopnia typ powieści. W ostatnich jego książkach *„Noeud des viperes"*, *„Fin de nuit"*, *„Les anges noires"* wprowadzony został z całą świadomością czynnik świętości. Niestety — pisarz słusznie zupełnie przeczuł — że nie potrafi go należycie od-

dać. W porównaniu z mistrzowsko opracowanym światem zła, świat dobra jest sztuczny i nienaturalny. Uświęcenie bohaterów dokonuje się nie przekonywująco, gdyż zamiast walki wewnętrznej i przezwyciężenia się mamy, tak charakterystyczny dla jansenizujących katolików, fakt natychmiastowego przejścia człowieka z cienia w światłość. Nieumiejętność związania życia ze świętością razi również w dziele „*La Vie de Jesus*".

Apostrofa Mauriaca do pisarzy, którzy usiłują napróżno malować świętość, odnosi się do Jerzego Bernanosa. Ten pisarz, nie wykarmiony na Pascalu, ale zato rozczytujący się w Ewangeliach, zawzięty szperacz śladów działalności szatana na ziemi, jeden z uczniów i spadkobierców duchowych Péguy'a, zraził do siebie oficjalną krytykę katolicką swoim ryzykownym i bezkompromisowym podejściem do zagadnienia. Filozofia życiowa Bernanosa wiąże się właśnie ściśle i nierozerwalnie z problematem walki świętego z szatanem. Jeżeli Mauriac i Maritain uważają świętość za jakiś stan nadludzki — będący w swych założeniach czysto ziemskich sprzecznym z interesami i celami doczesnymi — to Bernanos uwarunkuje byt świata od istnienia świętości. Święty jest przedmurzem które chroni nasze małe sprawy od zagłady.

„*Sous le soleil de Satan*" jest postawieniem sprawy na ostrzu noża. Ryzykowne z punktu widzenia religijnego wprowadzenie szatana „*in personam*" do walki zmusiło pisarza do przytarcia zbyt ostrych konturów konfliktu. Po kilku mniej udanych literacko próbach autor stwarza prawdziwe arcydzieło — jedną z najznakomitszych jeżeli nie najznakomitszą książkę jaka się zjawiła w okresie powojennym: „*Journal d'un curé de campagne*", Ostatnia powieść „*Nouvelle histoire de Mouchette*" jest utworem bardzo słabym, o ideologii dość mętnej. O ile analiza Świętości i jej przejawów szczerze ludzkich w dziełach Bernanosa mogłaby stać się cennym wzorem dla innych prozaików katolickich o tyle atmosfera powieści — ich, że się wyrażę klimat — wybaczalny w warunkach francuskich stać się może czymś nie do zniesienia w innym środowisku. Utwory Bernanosa są zarówno protestem przeciwko „letniemu" katolicyzmowi szerszych warstw katolickiej inteligencji francuskiej jak i przeciwko doktrynerskiemu stanowisku niektórych grup katolickich.

Do tej samej szkoły peguyowskiej należy twórczość Henryka Daniel-Ropsa. Pisarz młody o niepospolitym talencie zdobywa sobie ostrogi artysty w doskonałych powieściach: "*L'ame dans la nuit*", „*Mort oú est la victoire*" oraz w nowelach „*Le coeur complice*". Jednocześnie poświęca się z rozmaitym szczęściem pracy publicystycznej, wydając swoje artykuły w szeregu tomów jak np. „*Le monde sans ame*", „*Misere et nous*", „*Ce qui meurt et ce qui nait*". Zbliżony stanowiskiem ideologicznym do grupy E. Mounier, Daniel-Rops reprezentuje katolicyzm „społeczny", głosząc z całym naciskiem tezę o współwinie wszystkich w dziele odkatoliczenia świata. Tendencja ta szczególnie wyraźnie się zaznacza, jeżeli chodzi o utwór literacki w "*Le coeur complice*" a w publikacjach w „*Misère et nous*" sprowadza się do silnie podkreślonej zasady „*primum vivire*". Radykalny w swych poglądach i zasadniczo antykapitalistyczny Daniel - Rops umie jednak zachować granicę którą czasami przekracza Mounier i nie „zagalopowuje" się zbyt daleko w prawieniu komplementów bolszewikom. Jest zwolennikiem etatyzmu i ogranicza prawa własności, natomiast nie zdradza się zupełnie jako nacjonalista. Przeciwnie. Dopuszczenie aby wydawnictwo „*Presences*" którego jest dyrektorem, wypuściło żydofilską książkę pt. „*Les Juits*" dowodzi czegoś wręcz odmiennego.

Z starszego pokolenia częściej jeszcze odzywa się Claudel, wydając rok rocznie tom filozoficzno-krytycznych rozważań, jak zawsze u niego spowitych w symbolistykę. Pisarz o wyraźnie podkreślonej indywidualności wprowadza do swych utworów tak poetyckich jak i prozaicznych liczne wzmianki autobiograficzne. Przepracowuje po kilka razy ten sam temat — jak to miało miejsce z „*Violaine jeune fille*" — szukając właściwego wyrazu dla swego katolicyzmu. Będąc raczej estetą, niż poszukiwaczem nowej myśli społecznej, zamyka się niemal wyłącznie w swym etyczno-estetycznych rozważaniach.

Bordeaux po wojnie reprezentuje przedewszystkiem literaturę typu „patriotycznego" niezbyt jednak wysokiej klasy. Mocno już stary F. Jammes, zamknąwszy się na głucho na wsi, „schłopiawszy", wystąpił niedawno z tomem — częściowo zawierającym prozę, częściowo poezję — a przedstawiającym jego wrażenie z pierwszej pielgrzymki do Lourdes.

Ostatnio bardzo charakterystycznych barw nabrała twórczość Jana Cocteau. Cocteau — niespokojny duch, wcielenie dzisiejszej epoki tempa, przeszedłszy niczym Papini poprzez dziesiątki kierunków i grup, dotarł wreszcie do katolicyzmu. Zresztą nie stracił w zupełności — co mu wychodzi na niekorzyść — pewnych cech, które go uczyniły swego czasu członkiem grupy nadrealistów.

Pomijając jednak ostatnio wymienionyh autorów, albo nie wnoszących do literatury konkretnych „kierunków", albo zbyt indywidualnych aby dać się naśladować, musimy zwrócić baczniejszą uwagę na neo-liberalizm Maritaina, defetystyczno-deterministyczną postawę Mauriaca, pesymizm Bernanosa i zbyt może materialistyczny radykalizm Daniel-Ropsa. Kierunki te są u nas chętnie naśladowane, pomimo, że nie odpowiadatą nam zupełnie. Mogą więc pozbawić nas na długie lata samodzielności w myśleniu i w sztuce.

Słusznie mówi Stanisław Szczepanowski: „Wszystkie prądy europejskie prędzej czy później dostają się do nas. Tak musi być i dobrze, że tak jest, ale każdy prąd cywilizacyjny niesie ze sobą równocześnie pierwiastki siły i pierwiastki zarazy. Stąd fatalna konieczność, że naród który nie umie sobie przyswoić sił cywilizacyjnych ginie na zarazę cywilizacji. Ci więc, którzy stoją na straży tradycji narodowych powinni zaprowadzić — że tak powiem — kwarantannę moralną, dezynfekować prądy europejskie, ażeby tylko ich zdrowe pierwiastki do nas się dostały i wyszły na pożytek nie na zgubę".

„Naśladownictwo zastrzeżone" — napisałem w tytule. Nie chcę tu więc potępiać „*en bloc*" współczesnej katolickiej literatury francuskiej, będąc sam jej szczerym wielbicielem. Lecz nie mogę nie zwrócić uwagi na fakt, że przeszczepianie idej i pojęć francuskich mechanicznie na grunt polski może wywołać katastrofalne skutki, wypaczając polskie — a przez to jedyne — oblicze naszego katolicyzmu.

Lublin JAN DOBRACZYŃSKI

ŚWIĘTO JOANNY D'ARC W ORLEANIE

W DNIU 8 maja wczesnym rankiem udałem się z Paryża do Orleanu. Rok rocznie w dniu tym obchodzi Francja uroczystość Joanny d'Arc na pamiątkę wyswobodzenja oblężonego przez Anglików grodu w pamiętnym 1428 roku...

Niewielkie miasto przybrało odświętny wygląd. Spokojne i ciche zazwyczaj ulice napełnione tłumem przyjezdnych. Wysoko ponad ulicami umieszczono łuki tryumfalne z emblematami dawnych obrońców Orleanu. Domy toną w powodzi barw, przybrane sztandarami Republiki, sztandarami miasta oraz banderami św. Joanny.

Ze wszech stron otaczają nas białe lilie umieszczone na jej tarczy herbowej. Wraz z szelestem sztandarów różnokolorowych, trzepocących na wietrze otacza nas atmosfera średniowiecza.

Wydaje się, że za chwilę przed arkami tryumfalnemi i lasem proporców przepłynie poczet średniowieczny z ks. d'Alençon na czele, którego godło książęce góruje ponad falą tłumu. Za chwilę, zdaje się, zabrzmią zwycięskie fanfary, zalśnią promienie słoneczne na zbrojach, a okrzyk tryumfu z wezbranej piersi tłumu popłynie hen daleko poza brzegi Loary, mówiąc o zwycięstwie wiary nad przemocą, o instynkcie narodu, który się zbudził do życia.

Tymczasem rozlega się głos dzwonów poważny, donośny, ten głos dzwonów, który tak kochała Joanna, że, jak mówi legenda, nieraz prosiła dzwonnika w swej rodzinnej wiosce, by bicie dzwonów przedłużał, aby mogła wsłuchiwać się w ten dźwięk, łączący jej duszę natchnioną z innemi światami, których nie znała wymiaru ni granic...

W głębi ulicy widzę jej postać na koniu, wyrastającą ponad ludzi, jakby ruszającą na jakąś nową wyprawę z legendarnym sztandarem w dłoni, z oczyma pełnemi blasku wzmożonej samowiedzy.

Zatrzymał się jej rumak nagle, rozdmuchując chrapy, a ona sama, jakby czekała znaku od swych doradców: św. Michała-Księcia zastępów niebieskich, św. Katarzyny i Małgorzaty. Oni to bowiem rzekli prostej dzieweczce z Domremy; „Joanno, ratuj króla Francji, przywróć mu jego królestwo". Zatrwożyła się dusza wiejskiej dziewczyny ogromem włożonych na nią zadań, odpowiedziała więc w pokorze:

„Panie, ja jestem prosta dziewczyna, jakżeż jabym mogła konno jeździć, lub dowodzić zbrojnymi ludźmi?

Lecz prawda jej wewnętrzna silniejsza była od nieprawdopodobieństw życia, zwyciężyła wszystkich i wszystko, urzekła króla i rycerstwo, silniejsza niż śmierć, i śmierć zwyciężywszy.

Opowiadają dzieje tego życia, ofiarnego do ostatniej chwili, płaskorzeźby umieszczone na cokole pomnika.

Widzimy tam Joannę w rodzinnem Domremy, a potem na czele rycerstwa, wypierającego Anglików z granic Francji, broniącą Orleanu, koronującą króla w Reims, a wreszcie na stosie kończącą swą misję.

Pomnik zasypany świeżem kwieciem; wieńce od wdzięcznej Francji, która od 500 lat czci bohaterkę, a wśród nich mnóstwo białych lilii — symbol Joanny.

Faluje tłum u stóp pomnika, przyjezdni wycieczkowicze zostali urzeczeni wizją średniowiecza, wspaniałe proporce powiewają majestatycznie na wietrze, tylko jakieś turystki Angielskie w kraciastych szkockich strojach, w binoklach i nieodstępnym Bedekierem i Kodakiem w ręku fotografują postać Świętej.

W ciemnych, gotyckich sklepieniach niewielkiego Muzeum oglądam pordzewiałe zbroje, kule armatnie i kusze — pamiątki sławnego oblężenia.

W pięknej, piętnastowiecznej Katedrze, której wieże rosną piętrami w górę, odbywa się teraz uroczyste nabożeństwo, na którem zgromadzona cała Francja katolicka i narodowa.

Wzdłuż chodników gromadzą się już tłumy oczekujących na tradycyjny orszak, niektórzy posiadali na chodnikach, dużo pań w eleganckich wiosennych strojach ma ze sobą małe składane krzesełka; nastrój jest wesoły i niefrasobliwy, Francuzi nie lubią nadmiernej powagi; cierpliwie, zabawiając się wzajemnie wesołą gawędą, oczekują obiecanego spektaklu. Wreszcie z biciem w dzwony, z muzyką wielu orkiestr wkracza w natłoczone, wąskie ulice, pochód malowniczy, płyną ponad głowami wolno posuwające się chorągwie bractw i organizacyj, a wśród nich sztandar Joanny niesiony przez wojskowych w otoczeniu paziów średniowiecznych, pochodzących z nielicznych we Francji szlacheckich rodów.

Kogo tam niema w tym pochodzie! Najpierw idą dzieci z ochronek, młodzież szkolna w białych gimnastycznych koszulkach, następnie przedstawiciele władz i społeczeństwa, wśród których widać kroczących majestatycznie w swych togach sędziów i adwokatów, przedstawicieli władz municypalnych i rządowych z min. Zayem na czele.

Mali chłopcy z chórów kościelnych otwierają część religijną pochodu. W czerwonych piuskach i białych komeżkach wyglądają malowniczo jak na obrazach Matejki. Idą dziewczęta w bieli jakby do pierwszej komunii, idą księża w barwnych ornatach, dźwigający relikwie w kapiących od złota relikwiarzach, alumni poprzedzają biskupów, dzierżąc pastorały, w fiolecie szat swoich kroczą dostojnicy Kościoła, a wreszcie, gorąco oklaskiwany przez tłum, w gronostajach i szkarłatnym płaszczu, niesionym przez paziów, kardynał Verdier, głowa Kościoła we Francji, znakiem krzyża błogosławiący tłum.

Z wszystkich okien patrzą na wspaniały orszak rodziny rozsiadłe po mieszczańsku: siwowłosi staruszkowie, wspominający dawne dobre czasy, zażywni ojcowie rodzin i kobiety wystrojone na ten dzień, które jakby odeszły na chwilę od warsztatów czy lady sklepowej, by się przenieść w dziedzinę iluzji.

Potem znów długie kwadranse oczekiwania, tym razem na defiladę wojskową.

Tłum nie niecierpliwi się, co chwila słychać wybuchy gremialnego śmiechu, które wywołuje lada błachostka.

Wreszcie słychać nad miastem przelot eskadry samolotów i niemal równocześnie rozlegają

się żywe dźwięki orkierstr wojskowych, które krokiem tanecznym przemaszerowują przez miasto.

Dobosze biją co siły w bębny, zdobywają zachwyt i aplauz publiczności dzięki swej niesłychanej zręczności z jaką żonglują drobnemi pałeczkami, podrzucając je co chwila w powietrze. Maszerują zwarte szeregi piechoty; z pod kasków wyglądają inteligentne i roześmiane twarze, szeroką ławą idzie konnica, lśnią wydobyte na baczność pałasze oficerów, kłusujących na wyczyszczonych o błyszczącej sierści koniach, z chrzęstem przetacza się artyleria; przyczem zwraca moją uwagę zmotoryzowanie armii, a szczególnie samochody ciągnące olbrzymie armaty.

Nowy przelot samolotów nad miastem zamyka pochód.

Wieczorem ciągną tłumy nad Loarę, gdzie nieopodal starodawnego kamiennego mostu, na ciemnym tle rzeki wykwitają pęki wspaniałych rac, rozsypujących się po niebie girlandą barw i świateł.

Każda więcej udana raca witana jest okrzykami ludzi, którzy zbitą gęstwą obsiedli nadrzeczne ławice i pastwiska. Wreszcie tłum rozgorączkowany, radosny, kipiący życiem odpływa w ulice miasta wspaniale iluminowane, popod łuki tryumfalne iskrzące od świateł, aż hen ku dworcowi, koło którego rozsiadły się karuzele i tancbudy zdobywane niczem bastiony poprzez rozochoconą młodzież i żołnierzy w towarzystwie roześmianych dziewcząt...

Tymczasem nad cichą Loarą zaległa noc. Tylko księżyc jak nierealne zjawisko unosi się lekko ponad szuwarami rzecznemi, ponad wodą szemrzącą cicho jakby wspominającą dawne czasy.

Jakbym widział na bielejących w mrokach nocy, starodawnym kamiennym moście urokiem dnia przywołane, wymarłe zdawna rycerstwo, jakbym widział przepływające wśród mgieł i szuwarów zamyśloną postać Tej, co jest symbolem miłości ojczyzny równie dziś jak przed wiekami, postać Orleańskiej Dziewicy, o której przyjaciel A. Mickiewicza sławny Michelet mówi w sposób następujący:

„Souvenons-nous toujours, Français, que la Patrie chez nous[1]) *est née du coeur d'une femme, de sa tendresse et de ses larmes, de sang qu'elle a donné pour nous"*.

Prawdziwa wielkość pozostaje zawsze żywa. Taką jest wielkość Joanny A'arc.

„Chaque siecle, en changeant de point de vue, decouvre dans[2]) *cette vie de nouveaux horizonts, de nouvelles grandeurs. A ces sommets, l'humain et le divin sa rapprochent, dans une collaboration mysterieuse... ponr travailler a une oevre commune, le salut de la France"* powiada akademik Hanotaux.

Od wielu wieków stała się bohaterska Joanna symbolem zjednoczenia narodu; symbole prawdziwie wielkie mają wszędzie swoją wymowę, ten symbol wielki zjednoczenia w sercu każdego z Polaków może budzić to samo uczucie, co w sercach zaprzyjaźnionego narodu: miłość ojczyzny.

WIESŁAW STRZAŁKOWSKI

Paryż 10 maja.

---

[1]) „Pamiętajmy zawsze o tem, my Francuzi, że ojczyzna nasza zrodziła się w sercu jednej kobiety, z jej miłości i łez, i z tej krwi, co za nas przelała".

[2]) „Każde nowe stulecie, zmieniając punkt widzenia, odkrywa w tem życiu, nowe perspektywy i nowe wielkości. Na tych szczytach to, co ludzkie i to, co boskie zbliżają się wzajemnie w tajemniczej współpracy, by osiągnąć jedno dzieło: zbawienie Francji".

KSIĄŻKA O TYCH CO KOCHAJĄ POLSKĘ

CZYTAJĄC książkę Jana Wiktora „Od Dunaju po Jadran",[1]) nie można się ochronić dwum pojęciom: narodowej dumie, z powodu naszej literatury i kultury podziwianej przez cudzoziemców, a jednocześnie rozgoryczeniu, że nie potrafimy, godnie reprezentować Polski zagranicą, jako wielkiego mocarstwa, ani też sami dla siebie nie posiadamy szacunku i nie doceniamy własnego dorobku, nie potrafimy prowadzić skutecznej propagandy.

Wiktor zwiedził trzy kraje: Rumunię, Bułgarię i Jugosławię przyłączywszy się do wycieczki zorganizowanej przez akademicką trupę teatralną popisującą się wystawianiem sztuki Morstina: „Kopernik". Być może gdyby autor podróżował samotnie, powstałby zamiast tej książki tylko reportaż bajecznie kolorowy o krajach słonecznego Południa, bo zazwyczaj Polak czy to dziennikarz, czy pisarz-podróżnik udając się zagranicę pławi się cały bez reszty w egzotyźmie, w zachwytach nad tem co obce i pozostaje pod urokiem nowości. Wiktor nie jest łowcą niezwykłości, egzotyzmu, interesuje go zawsze i wszędzie nie klimat, nie oprawa zewnętrzna, ale sam człowiek, jego szary byt, ale również jego najwyższe aspiracje. Przejeżdżając przez stolice państw Bałkańskich, zwiedzając muzea, zabytki, podziwiając wspaniałe parki i starodawne wsie, gdzie zachował się prastary obyczaj i folklor, Wiktor szuka i bada przedewszystkiem człowieka, wszystko mu jedno, czy to będzie znakomity pisarz, czy polityk rumuński, czy bułgarski kolejarz, piszący na powitanie wycieczki polskiej entuzjastyczny artykuł, czy panienki kupujące książki w wielkiej księgarni w Sofii, czy siostra miłosierdzia — im większa, im bogatsza galeria ludzi przesuwa się przed oczyma pisarza, tym więcej zbiera ciekawych wiadomości i o zwiedzanym kraju i stosunku cudzoziemców do Polski. Wiktor bowiem jest zawsze pod urokiem swego kraju, nieustannie nasuwają mu się analogie i niepokojące pytania. I tak po przekroczeniu granicy Rumunii, kraju sąsiedzkiego, u którego przyjaźń ta się oficjalnie manifestuje, Wiktor pisze: „Rumuni nie uznają Polaków na Bukowinie, nie szanują najprymitywniejszych praw, znieważają ich i prześladują. (s. 12) i podnosi *larum*, wołając: „Czyż Polska nie ma sił, aby odtrącić wrogie ręce od mocnego pnia?"

---

[1]) Jan Wiktor: Od Dunaju po Jadram. Książnica Atlas. Lwów — Warszawa 1938. s. 285. ryc. 50.

Już tak nieraz elektryzował i wstrząsał sumieniem narodu i pobudzał do zastanowienia, czy to przez swe świetne reportaże o Śląsku Opolskim, czy przez najbardziej tragiczną opowieść „Wierzby nad Sekwaną" o polskim emigrancie, chłopie, robotniku we Francji, a teraz w książce podróżniczej znów Polska nie schodzi mu z myśli. Podnosi np., że nie może Rumunia imponować Polsce ani swą gospodarką rolną, chociaż posiada ziemię doskonałą, pszenicę i wino rodzącą, nie może także przodować dawnością łacińskiego pochodzenia swego narodu, bo jednak jest to kraj w którym przeważają pojęcia nie Zachodu, ale Wschodu, czyli w którym żyje, mówiąc słowami pisarza: „Pyszny bojar i szary, nędzny niewolnik rzucony do stóp, spełniający rolę sprzętu". Jedyne, co może Polaka zastanowić i posłużyć mu za przykład, to przywiązanie do tradycji, to ochrona dawnego obyczaju, pieczołowitość w stosunku do ludowego folkloru. Polska jeszcze nie posiada takiej osady etnograficznej, jaką może się poszczycić w parku Karola II w Bukareszcie Rumunia.

Za mało cenimy i za mało dbamy o naszą przeszłość, stwierdza Wiktor smutną prawdę, i wtedy gdy przychodzą mu na myśl daremne wysiłki wielu jednostek, i wtedy gdy jeden z uczestników polskiej wycieczki, jakiś akademik, wyraża się lekceważąco o poezji Mickiewicza, jako o rupieciu, podczas gdy obcy, Bułgar z przejęciem, drżącym głosem wymawiać będzie każdą strofę wieszcza nieśmiertelnego wśród Bułgarów. Z książki Wiktora dowiadujemy się, że Bułgarzy są gorącymi przyjaciółmi Polski, ich powitania nie były oficjalne, ale naprawdę płynęły z serca. Na widok polskiej wycieczki i biało-czerwonego sztandaru zrywały się okrzyki z ust dzieci bułgarskich, nieznajomi ludzie gościli i obdarzali niby swych najbliższych Polaków. I nic dziwnego, skoro się zważy, że od wieków bułgarski chłop nuci żałosne dumy nad nieznanym grobem króla polskiego Władysława Warneńczyka, imię jego otaczając niemal aureolą świętości, skoro Bułgarzy znają w przekładach naszych najznakomitszych pisarzy i poetów jak Wyspiańskiego, Staffa, Reymonta, Orzeszkową, nie mówiąc już o Mickiewiczu, którego wiersze wielu umie na pamięć nawet w oryginale. Według słów Wiktora wszyscy w Bułgarii, zarówno dzieci, jak studenci, pisarze, czy wydawcy — „są zarażeni Polską", ona jest w ich pojęciu uosobieniem legendarnego piękna i bohaterstwa.

Bułgaria dostarczyła Wiktorowi najgłębszych wzruszeń, jej też poświęcił najpiękniejsze karty książki, dając wiele nastrojowych obrazków, czy w tej scenie, gdy student Methody Bozov na ulicy w Sofii przemawia słowami wyjętymi z Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa, czy wtedy gdy po oficjalnych bankietowych mowach zabrał nieoczekiwanie głos aptekarz bułgarski, który przed laty 40 kształcił się na uniwersytecie we Lwowie, tam poznał i pokochał naszą poezję romantyczną i przejął się nią do głębi. Zjawił się na powitanie polskiej wycieczki, dowiedziawszy się, że bierze w niej udział syn jego dawnego przyjaciela Polaka. I wiele, wiele jeszcze, wzruszających momentów, wiele dowodów szczerego uczucia spotkało polską wycieczkę w Bułgarii. Może nas to napawać radością i dumą, ale z drugiej strony nie podobna, czytając książkę Wiktora, zamknąć oczy na te ciemne strony, które się odsłaniają... Okazuje się że nie jesteśmy przygotowani na takie entuzjastyczne przyjęcie i nie umiemy wykorzystywać tych nastrojów.

Nasuwają się gorzkie refleksje, bo ta młodzież, która znalazła się wśród przyjaciół bułgarskich nie była dostatecznie przygotowana do swej roli nie tej z „Kopernika" ale do roli szerzenia kultury wśród obcych, bo niestety ona sama nie grzeszyła ni ogładą towazzyską, ni znajomością polskiej literatury. Ale dość o tym, może te słowa krytyki pod adresem uczestników wycieczki podyktowało Wiktorowi chwilowe rozgoryczenie, wolelibyśmy tak sądzić, ale niestety, patrząc obiektywnie, musimy ukrywać rumieniec wstydu, bo w istocie ilu jest takich, którzy zapominają, że to zaszczyt być Polakiem. Wiktor należy do tych, co pamiętają o Polsce ciągle, na każdym kroku i dlatego jego książka jest przepojona na wskroś patriotyzmem, jest propagandą Polski przeznaczoną nietyle dla obcych, co właśnie dla swoich i powinna się znaleźć w ręku każdego, kto szuka dobrej, zdrowej lektury, jest ciekaw spraw, które dzieją się wśród obcych, a pragnie się zastanowić nad naszą własną kulturą w porównaniu z wartościami kulturalnymi innych narodów.

Kraków IRENA TUROWSKA

ZA WSZYSTKICH

Od drzew kwitnących schodzisz
dziewczęcą, lekką stopą,
gwiezdnemi szlakami brodzisz
nad Europą.
Płaszcz Twój niebieski rozpinasz,
od Chin aż do Hiszpanii,
nad tymi, co bez przebaczenia giną,
nad tymi, których się przeklina,
nad tymi, co są skazani.
Do ginących Twój szlak dobija,
potępionych nie omija,
Maryja!

Cześć Twoja — na wysokości,
a serce — przy nas, w cieniu:
w każdą otchłań zstępujesz najprościej
z księżycem na ramieniu.
Zbrodniarza dopuszczasz do łaski
i bogacza zrozumiesz i wesprzesz...
Ciebie broniące się Baski
widzieli stojącą w powietrzu,
i — rozstrzeliwany w Walencji —
Polak Tobie modlitwę święcił
szkaplerz Twój na palcu owijał,
Maryjo.

Szaty Twej szelest nad krajem
blizki, blizki...
O Maryjo, przyczyń się w maju
za wszystkich.

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

NA WIDOWNI

W poszukiwaniu narodu, który się zgubił. — O potrzebie trzeźwego widzenia rzeczywistości. — Nie ma lewicy i prawicy, a coś różni. — Pętelka logiczna i brak metody poszukiwania. — Wypadła z rachunku międzynarodówka. — Rodowitość i kombinatorstwo.

W CHWILI, kiedy piszę te słowa, uwaga powszechna i u nas i w całej Europie zwrócona jest ku Pradze i Sudetom, uwaga, której towarzyszy napięcie nerwów. Atmosfera jest duszna, płuca Warszawy domagają się ozonu i powietrza górskiego. Blady uśmiech, z którym czytać poczęliśmy sprawozdanie z zebrań Rady Naczelnej OZN, przygasł, natomiast każdy przeczytał z zastanowieniem słowa marszałka Śmigłego - Rydza, wygłoszone przy okazji tych zebrań:

„Szanowni państwo — przed wojną jest pokój, każdy okres pokoju kończy się wojną. Jest to reguła, która jest stwierdzona doświadczeniem krwi, tragediami narodów w ciągu tysiącleci. Chciałbym zobaczyć człowieka, któryby twierdził, że dziś właśnie żyjemy w epoce, która ma znamiona wyraźnie wskazujące, że ta reguła stała się anachronizmem, że przestała istnieć. Nie chcę nikogo straszyć wojną, nie chcę bawić się w proroctwa, będę ostrożny i powiem jedno: ja w mniemaniu, że ta reguła, stwierdzona przez tysiąclecia, przestaje obowiązywać, wierzyć nie mogę i wierzyć nie mam prawa.

Dlatego też nie jest dla mnie rzeczą obojętną, jak społeczeństwo nasze — jak naród nasz żyje w czasie pokoju. Nie jest dla mnie rzeczą obojętną, czy społeczeństwo żyje pod hasłem skoordynowanego wysiłku, harmonijnej współpracy, czy też pod sztandarem wiecznej i nie kończącej się niezgody i gderliwego pieniactwa".

Marszałek Śmigły-Rydz uznaje c e l e OZN za dobre, co zaś tyczy się dróg, do celu prowadzących, doradza organizatorom Zjednoczenia Narodowego, aby przywołali na pomoc „dużo poczucia realizmu, dużo trzeźwości w osądzie rzeczywistości, a jednocześnie dużo optymizmu".

Są to słowa słuszne, nie ulega bowiem wątpliwości, że Polak pragnący szczerze zjednoczenia rzeczywistego, przy trzeźwem wejrzeniu w stosunki musi natchnąć się optymizmem. Zobaczy bowiem, że naród, że decydująca o postawie narodu większość, jest już zjednoczona, i to zjednoczona jak nigdy przedtem nie była w tak szerokiej międzystanowej i międzyklasowej powszechności. Trzeźwe wejrzenie w rzeczywistość łatwo przekonałoby, że to zjednoczenie dzięki silnemu wzrostowi ducha nacjonalistycznego dokonało się na osi, łączącej serce narodu z racją stanu i że wymijanie tego faktu w poszukiwaniu zjednoczenia innego typu według obliczeń, że wszyscy gotowi się dziś połączyć w poglądach radykalnych na ustrój społeczno-gospodarczy, jest nierealne.

— — — — — — — — — — — — —

Wziąłem umyślnie przed siebie sprawozdania z pomienionych zebrań, ogłoszone w jednym z organów oficjalnych organizacji OZN, mianowicie w „Dzienniku Polskim" (Lwów). W nr. 138 ogłoszono tam pełny tekst deklaracyjnego przemówienia, które na otwarciu zjazdu Rady wygłosił szef Obozu generał Skwarczyński. Poświęcono temu zebraniu wiele miejsca w owym numerze, nie podano jednak mowy marszałka Śmigłego - Rydza. Zrobiono to dopiero nazajutrz z odpowiedniemi komentarzami.

W przemówieniu gen. Skwarczyńkiego znajduje się twierdzenie, służące mówcy za punkt wyjścia, ale mogące zaniepokoić każdego słuchacza, a mianowicie:

„Uważam, że błędem jest dziś dzielenie społeczeństwa wedle starych przyzwyczajeń na lewicę i prawicę. Gdy zanalizujemy programy ugrupowań politycznych w Polsce, spotkamy niemal wszędzie hasła społecznie radykalne: zwiększenie znaczenia świata pracy, oparcie siły narodu na uświadomionej i dostatnio ekonomicznie wyposażonej masie włościaństwa itp. Sądzę więc, że trudności konsolidacji szukać należy gdzie indziej a nie w tem, że zapatrywania i programy społeczne poszczególnych ludzi i ugrupowań politycznych wykazują mniejsze lub większe odchylenia na prawo czy na lewo".

Twierdzenie to jest niepokojące, wygląda bowiem na pętelkę logiczną. Bo oto dalej tak myśl się rozwija:

„Sądzę, że trudności tych należy szukać w przyzwyczajeniach n a s z y c h i c a ł e g o ś w i a t a do form życia politycznego i społecznego 19 stulecia, które już przełamał ogólny rozwój życia gospodarczego i politycznego, a zwłaszcza w ogromnej mierze wielka wojna światowa. Dziś świat cały poszukuje innych form życia państwowego i społecznego niż te, które trwały w 19 i na początku 20 wieku.

Gra interesów poszczególuych grup społecznych przekraczała granice państwa i wytwarzała sprzeczną często z dobrem narodu, międzynarodową solidarność kapitału i świata pracy. Powstawały więc tak dziś zwalczane przez nas „międzynarodówki".

M y ś l e n i e k a t e g o r i a m i i n t e r e s ó w nie z o s t a ł o u n a s j e s z c z e p r z e z w y c i ę ż o n e i to jest, moim zdaniem, przyczyną trudności w organizowaniu zjednoczenia narodu."

Więc ostatecznie podział na lewicę i prawicę nie został przezwyciężony, więc istnieje po dawnemu lewica. Socjologicznie bowiem na czemże innem polegać może zjawisko psychiczne natury społecznej, jak nie na „myśleniu" i „przyzwyczajeniu". Zjawisko to nabiera charakteru politycznego (który nas tutaj interesuje), jeśli do myślenia i przyzwyczajenia dołącza się moment c h c e n i a, chcenia tego właśnie, żeby istniała lewica, przeciwstawiająca się dążeniom narodowym. Oto właśnie chodzi, że pod mianem lewicy w znaczeniu politycznem ukrywa się nie jakiś system reform społecznych, czy interesów klasowych, lecz coś znacznie donioślejszego, mianowicie ukrywa się system zwalczania d z i e j o t w ó r s t w a n a r o d o w e g o.

Kto mówi „Państwo", musi jednocześnie mieć na myśli „Naród". Kto zaś się zapisze do lewicy, ten nie może znieść idei narodu, jako motoru dziejotwórczego; o Państwie powie, jak niegdyś Sieroszewski (ideolog grupy lewicowej), że pojęcie jego jest przestarzałe, skompromitowane źródłosłowem „pan" w samej nazwie, a symbol polotu dziejotwórczego Orzeł Biały jest gęsią.

To jest właśnie myślenie i przyzwyczajenie dotąd nieprzezwyciężone, choć nieraz maskowane, w zależności od koniunktury. A ten system myślenia, przyzwyczajenia i chcenia, jak słusznie zaznacza gen. Skwarczyński, znajduje się w mocy organizacyjnej międzynarodówki i tak jest od niej uzależniony, że na nic się nie zda jednanie go, aby współczuł i współdziałał w widokach jednoczenia narodu, jakie ukazał w swej mowie marszałek Śmigły-Rydz. Widzimy przecież, jak myślenie i przyzwyczajenia trudno jest wybić z głowy lewicy hiszpańskiej, a gen. Franco nie szczędzi argumentów. Ot w Rosji — to prawda — nie ma już lewicy i prawicy, istnieje zjednoczenie całkowite.

— — — — — — — — — — — —

Trzeba istotnie trzeźwo patrzeć na rzeczywistość. I umieć patrzeć. No i trzeba chcieć — zrozumiawszy prawdę, pójść za nią prosto, nie puszczać jej w pętelkę. W idei prawdy tkwi moment heroiczny — oddania się jej.

Trzymajmy się jednak zakresu nieporozumień. My publicyści jesteśmy od tego, aby wyzwalać opinię z powikłań myślowych. Zwłaszcza w myśleniu o rzeczach społecznych, tak związanych z sobą organicznie lub przylegalnością mechaniczną, potrzebna jest odrobina metody.

Do zrozumienia funkcji narodowo - państwowych nie wystarcza elementarna socjologia interesów. Było to przyzwyczajeniem wieku XIX rozwiązywanie zagadnień w tym kierunku poziomym. Ci, co uczyli się wiedzy o życiu zbiorowem na żydowskim elementarzu Marksa, gdy się dotkną do takiego zjawiska, jak życie państwa narodowego, nie mogą pogodzić się z myślą, że poza układem społecznym interesów istnieje życie przyrodzone narodu, ulegające prawom organiczności swojej, nie umowie społecznej, życie bezinteresowne (to znaczy będące poza interesami jednostek i grup). Przedstawmy sobie dom rodzinny, gdzie oprócz rodziny gospodarzy, przebywa służba, nauczyciel domowy, sublokator. Mamy tutaj dwa typy stosunków: jeden rodzinny, drugi oparty na układzie interesów. Wszyscy mogą być z sobą dobrze zżyci, a jednak — jeśli nie wprowadzamy komuny — los tego domu zależny będzie jako całość od losu gospodarzy.

Istota narodu i jego gniazda państwowego jest sprawą rodową, nie mającą wykładnika w interesach socjalnych składających go grup. Do obozu politycznego szczerze narodowego należą przedstawiciele wszystkich grup społecznych i wszystkich regionów. Program takiego obozu nie hasłami socjalnemi zarysowuje swoją indywidualność. Nasze Stronnictwo Narodowe wyhodowało ideał państwa opartego na sile naturalnej rodowitości, nie na kombinacji interesów. Najlepszy układ interesów grupowych nie daje w sumie zjednoczenia narodowego. Interesy są zmienne, interesy są przedmiotem gierek i negocjacji dostępnych siłom obcym, międzynarodowym; łączyć może trwale w pokolenia związek ideowy z głosem krwi.

Międzynarodówka (lewica) w tej idei rodowitości widzi największego swego wroga, niszczy nie tylko nacjonalizm, ale rodzinę i Boga. Istnieje więc lewica, choćby nie było wielkich różnic w poglądach społecznych. Różnic trzeba szukać w tej dziedzinie, o której się nie wspomina w kombinacjach mechanicznego zjednoczenia ludzi, w tej dziedzinie, dla której najbardziej wrogą będzie zawsze idea organicznego zjednoczenia narodowego. Inaczej czem wytłumaczyć, dlaczego szuka się poparcia idei zjednoczenia wszędzie, tylko nie tam, gdzie ono już istnieje, a jedno tylko ma się na myśli, jakby układ skombinować z pominięciem obozu zjednoczenia rzeczywistego.

Tak jest; zjednoczenie może być dokonane tylko na gruncie pozainteresowym. Dla ludzi, przyzwyczajonych do walki o interesy, uznanie tej prawdy bywa psychiczną niemożliwością.

ZYGMUNT WASILEWSKI

SPRAWA CZECHOSŁOWACJI

(Ob. nr. 22).

WOJSKOWE koła praskie liczą na sojusz z Francją, a nawet na realną pomoc Anglii. Przede wszystkim zaś na pomoc Związku Sowieckiego.

Powiedzmy otwarcie: jeśli liczenie na Francję i Anglię ma wszelkie cechy szkodliwej dla każdej realnej polityki fikcji, to pomoc Z. S. S. R. jest fikcją całkowitą. Ostatnio Litwinow miał się wyrazić, że ze słów układu wojskowego polsko-francuskiego wynika, iż Polska zobowiązana jest do przepuszczenia przez swe terytorium wojsk sowieckich. Interpretacja dość chyba osobliwa...

Ostatnie wybory gminne z dnia 22 b. m. wykazały jasno jaką cenę się płaci za *entente cordiale* Pragi ze Związkiem Sowieckim. W momentach tak tragicznych, jakimi są obecne chwile Czekhosłowacji, zdawało by się, iż winny wzrosnąć właśnie nastroje nacjonalistyczne. Tymczasem obliczenie głosów obwieściło spadek wpływów politycznych grup narodowych, wzrost natomiast głosów lewicy. Zestawmy te wyniki z wynikami partii Henleina, który skupił wokół siebie około 90% głosów niemieckich a zestawienie to powie nam bardzo wiele.

Henlein urósł, wykazał swą siłę i mógł już zażądać od rządu czechosłowackiego utrzymania własnej siły zbrojnej, jaką są jego słynne już drużyny ochronne „F. S.", a Praga nie miała siły odmówić temu żądaniu.

Wślad za Henleinem, słowacki poseł do parlamentu zażądał wyodrębnienia Słowaków w osobne oddziały wojskowe, z własną komendą, korpusem oficerskim, nawet Akademią Wojskową. Żądanie, które, gdyby zostało spełnione, rozłożyłoby zupełnie siłę zbrojną państwa. Dodajmy, że Słowacy nastrojeni wybitnie antykomunistycznie prowadziliby politykę odrębną w swoich szeregach nie tylko, jeśli idzie o koncepcje tyczące się spraw zewnętrznych ale i wewnętrznych, gospodarczych i socjalnych. Brak więc koordynacji zupełny, a w konsekwencji rozdźwięk, fikcja czechosłowackiej jedności państwowej.

Czesi nie mogą zrozumieć, iż pomoc sowiecka oznacza dla nich coś groźniejszego nad śmierć państwa, bo poprostu śmierć narodu. Niedawno wskazywaliśmy tu, na tem miejscu, na młodzież akademicką czeską, w większości wyznającą dzisiaj ideje komunistyczne. Oto do czego doprowadziła miłość do Rosji datująca się jeszcze z czasów przedwojennych! Czeskie hasła polityczne z jakąś upartą a dla siebie samobójczą tępotą nie chcą, wyraźnie nie chcą znaleźć różnicy między Rosjaninem a rosyjskim bolszewikiem. Różnica przecież istnieje i to nie mała. Czeskie koła polityczne nie chcą widzieć, iż budują na terenie swego państwa ekspozyturę Moskwy tak pod względem ideowym jak i taktycznym, jak i wojskowym, Nie widzą, iż właśnie w imię obrony przed rozrastającym się w Europie Środkowej ośrodkiem komunistycznym, Niemcy mogą rozpocząć atak. Ataki się przecież pozoruje nie tylko na wojnie.

Zwróćmy tu uwagę na wspomniany już przezemnie komunikat Polskiej Informacji Politycznej z dnia 12-go bm. Oto jego wyjątek:

Przechodząc do innych spraw, musimy zauważyć, że Rząd Polski miał możność od dłuższego już czasu stwierdzić przenikanie na teren Rzeczypospolitej akcji komunistycznej, organizowanej na terenie Czechosłowacji, i stamtąd prowadzonej roboty wywrotowej na terytorium Polski. Zakres tej akcji zmusił w końcu Rząd Polski w marcu rb. do stanowczego wystąpienia wobec rządu praskiego w drodze dyplomatycznej. W wyniku noty polskiej rząd czechosłowacki zobowiązał się do podjęcia kroków, które uniemożliwiłyby na przyszłość prowadzenie akcji tego rodzaju. Odpowiedź tę Rząd Polski przyjął do wiadomości, stwierdzając jednak, że będzie oczekiwał na konkretne rezultaty kroków, zapowiedzianych przez rząd czechosłowacki, a zmierzających do likwidacji akcji komunistycznej i wywrotowej,zwróconej przeciw pokojowi wewnętrznemu Rzeczypospolitej. Jedynie na podstawie takich realnych rezultatów mógłby Rząd Polski uważać tę sprawę za wyczerpaną.

Władze policyjne czeskie zezwoliły w tym roku na urządzanie pochodów pierwszomajowych, czym umożliwiły żywiołom komunistycznym publiczne manifestowanie swej siły. Żywioły te „odpłacają" się wzamian ni mniej ni więcej tylko... patriotyzmem czeskim dochodzącym aż do granic szowinizmu. O ile przed tem akcja ich rozkładała planowo państwo czechosłowackie, propagując zasady decentralistyczne, to obecnie przeciwnie, komuniści stają w szeregach zdecydowanych przeciwników ustroju autonomicznego Czechosłowacji. PAT, w dniu 23-cim kwietnia donosił, że bratisławski „Słowak" został aż skonfiskowany za artykuł demaskujący taktykę komunistów na terenie Słowacji:

„W artykule tym „Słowak" przypomniał, — podaje PAT — że przed niedawnym czasem komuniści, dążąc do zbolszewizowania Słowacji, propagowali tam autonomię a nawet zupełną niezawisłość, piętnowali „rozbójniczy reżim czeski" w Słowacji i domagali się przyznania Słowakom prawa stanowienia o sobie. Obecnie komuniści stali się najbardziej zagorzałymi centralistami. Zwalczają ruch autonomiczny, nazywają autonomistów zdrajcami i zarzucają im, że porozumiewają się oni z Niemcami i Węgrami".

Taktyka komunistów jest tak jasna, iż nie wymaga komentarzy. Nie chcą jej — powtarzamy — dostrzec jedynie nacjonalistyczne koła czeskie. Może ją spostrzegły po ostatnich niedzielnych wyborach.

STANOWISKO POLSKI

Coraz bardziej świat cały poczyna patrzeć na nas, jako na czynnik od którego w rzeczywistości zależy takie lub inne rozwiązanie zagadnienia czechosłowackiego.

Polityka Polski wobec Czechosłowacji, to chyba jedno z najbardziej niedyskretnych pytań. I wcale nie myślimy go w tej chwili stawiać.

Trzeba sobie zdać przede wszystkim z tego sprawę, że i my przecież jesteśmy zainteresowani w sprawie autonomii poszczególnych grup narodowościowych na terenie republiki czechosłowackiej, Deklaracja posła Wolfa w parlamencie praskim z dnia 29 marca była zapowiedzią kategorycznych żądań — dzisiaj mamy już je sprecyzowane. Oto one:

1) zwrot stanu posiadania ludności polskiej w Czecho-Słowacji z r. 1918,

2) podstawowa zmiana struktury prawnej, w obrębie której żyje dotąd ludność polska w Czecho - Słowacji. Z tej też przyczyny domaga się ludność polska autonomii.

Ludność polska w Czecho-Słowacji domaga się dalej trzech zasadniczych gwarancyj, a to:

a) bezpośredniego i decydującego wpływu ludności polskiej na politykę socjalną i uregulowanie czynności stowarzyszeń,

b) swobody życia kulturalnego i narodowego, tudzież prawa bezpośredniej decyzji co do polityki wychowawczej na wszystkich obszarach w Czecho - Słowacji zamieszkałych przez Polaków.

c) bezpośredniego i decydującego wpływu na politykę gospodarczą w tych obszarach,

d) ludność polska domaga się pełnej swobody zarobkowania.

Wkońcu rezolucja żąda procentowego przeznaczenia dla Polaków dochodów państwowych z części kraju zamieszkałego przez ludność polską.

Powróćmy raz jeszcze do komunikatu z dnia 12 bm.

Wydarzenia polityczne ostatnich miesięcy wysunęły na plan pierwszy szereg problemów Czechosłowacji, oddawna już utrudniających ułożenie w sposób normalny warunków jej współżycia z państwami sąsiednimi.

Nie wchodząc w ocenę całokształtu tych problemów, chcemy z naszej strony poruszyć parę spraw, wynikających z obecnego stanu rzeczy w polityce Czechosłowacji, na odcinku stosunków polsko-czeskich.

Sprawie warunków życia ludności na Śląsku Zaolzańskim poświęciliśmy już szereg artykułów. Nie uważamy więc za potrzebne wchodzić tu raz jeszcze w szczegóły, tym bardziej, iż na przestrzeni ostatnich dwóch lat nie nastąpiła w tej dziedzinie żadna istotniejsza zmiana, a akcja eksterminacyjna w stosunku do polskiego życia narodowego za Olzą, obejmująca wszelkie jego przejawy, prowadzona jest systematycznie nadal. Nawet zapowiedziane przez rząd praski przy końcu ub. r. załatwienie niektórych tylko postulatów ludności polskiej nie zostało zrealizowane, parę zaś drobnych posunięć władz czeskich w tej sprawie nie przedstawia poważniejszego znaczenia. Natomiast znacznie się ostatnio zaostrzył stosunek władz czeskich do prasy polskiej na Śląsku za Olzą, czego dowodem są częste konfiskaty gazet polskich.

Ostatnie doniesienia prasowe wskazują, że praskie sfery rządowe przeszły od obietnic do projektów i zamierzają opracować nowy, szeroko zakrojony statut dla mniejszości narodowych, który — według zapewnień rządu czechosłowackiego — gwarantować ma ludności polskiej te same prawa, jakie udzielone byłyby jakiejkolwiek innej mniejszości w tym państwie. Będziemy oczywiście oczekiwali spełnienia tych zapewnień. Dziś stwierdzić możemy jedynie, że dotychczasowe długoletnie doświadczenia nie dają żadnej podstawy do przedwczesnego optymizmu.

A więc ze sfer rządowych wieje sceptycyzmem. Nie mniej jednak obstają one przy żądaniach Polaków zaolzańskich. I one i cały naród Polski, tylko...

Tylko, że za żądaniami Niemców Sudeckich stoi wielka koncepcja polityków kierujących III-cią Rzeszą i układających jej historię. Czy i jaka koncepcja kryje się poza żądaniami Polaków na Śląsku? Jeśli chodzi nam wyłącznie o obronę spraw narodowych naszych rodaków na Śląsku zaolzańskim, to mało. Diabelnie mało.

Musimy tu stwierdzić otwarcie, że zarówno z kół obozu dziś rządzącego, jak i ze strony opozycji nie rzucono żadnej wielkiej koncepcji, jeśli idzie o Czechosłowację. Pomijam oczywiście tu lewicę nie polskimi racjami stanu się kierującą, pomijam i „partię francuską".

Na problem stosunków polsko - czeskich nie potrafiono do tej pory spojrzeć szerzej, aniżeli przez pryzmat sporów granicznych, na czym szkodę w pierwszym rzędzie ponoszą i owe sprawy i nasi rodacy zamieszkujący nadgraniczne polskie powiaty najniesłuszniej włączone od Czechosłowacji.

Nie potrafiono spojrzeć szerzej ani u nas, ani w Pradze. Niedawno mieliśmy możność czytać artykuł pułkownika sztabu generalnego Moravca, który w zbliżonych do sfer rządowych piśmie „*Lidovych Novinach*" pisał, iż na zbliżeniu polsko-czeskim zyskała by jedynie Polska, zyskała by

ona bowiem „znakomitego" sprzymierzeńca (relacja PATa). Oto przykład jaskrawy zaślepienia politycznego sfer czeskich!

A tymczasem koła angielskie już dzisiaj pragną zrzucić odpowiedzialność na kogoś „trzeciego" za wszystko to co ma się stać z suwerennością Czechosłowacji. Zaznaczmy tu na marginesie, że szukanie wytłomaczenia dla swych klęsk poczęło być ostatnio specjalnością Anglii...

Wróćmy jednak *ad rem*. Zwrócenie oczu na Polskę, jako czynnik decydujący jest słuszne. I słuszne jest twierdzenie, iż los Czechosłowacji w naszym obecnie spoczywa ręku.

Znajdujemy się obecnie w obliczu wyjątkowej dla nas historycznej koniunktury.

J. Ba.

ZMARLI

WITOLD RUBCZYŃSKI

JUŻ trzeci cios spotyka w tym roku filozofię polską, cios tem boleśniejszy, że zabiera z pośród żyjących postać, która była tej filozofii przedstawicielką bodaj najbardziej rasowo polską, bodaj najbardziej odbijającą w sobie najszczytniejsze tradycje i ideały naszej opartej na cywilizacji zachodnio-europejskiej narodowej kultury.

Po zgonie ś. p. Kazimierza Twardowskiego i ś. p. Mścisława Wartenberga dnia 18 maja br. umiera nagle na atak serca na dworcu kolejowym w Inowrocławiu s. p. Witold Prawdzic Rubczyński, emerytowany profesor honorowy Uniwersytetu Jagiellońskiego, członek Polskiej Akademii Umiejętności, przewodniczący Komisji do badania dziejów filozofii w Polsce, prezes Krakowskiego Towarzystwa Filozoficznego i główny organizator ostatniego III-go Zjazdu Filozofów Polskich.

Postać to niezwykła, która na zawsze pozostanie w pamięci tych, którzy mieli zaszczyt być jego uczniami. Wielkiej wiedzy, ujmującego obejścia, kryształowego charakteru, profesor Rubczyński w dzisiejszych zmaterializowanych i opanowanych duchem karjerowiczostwa czasach był postacią prawdziwie ewangeliczną, która promieniowała z siebie ukochanie Prawdy i Dobra i jako naczelny cel życia wskazywała pracę nad wewnętrznym doskonaleniem się, by w ten sposób być w stanie przyczynić się do pomnożenia „ładu i mocy duchowej" w odradzającej się Ojczyźnie [1]).

Boleśnie doświadczony w życiu prywatnym (stracił przedwcześnie dwoje zapowiadających wielkie nadzieje dzieci), jak Platon uważał zagadnienie etyczne za naczelne zagadnienie wszelkiej filozofii i to swoje stanowisko rozwijał i uzasadniał w szeregu następujących po sobie opracowań (od wykładu inauguracyjnego na Uniwersytecie Jagiellońskim, wygłoszonego 29 listopada 1910 r. [2]), po przez Zarys Etyki [3]) aż do będącej, niejako jego testamentem filozoficznym Filozofii życia duchowego [4]) w sposób wysoce samodzielny i oryginalny, który na zawsze zapisał trwałymi zgłoskami jego imię w historii filozofii i kultury polskiej [5]). Zwłaszcza składająca się z pięciu rozdziałów druga część jego „Filozofii życia duchowego", zatytułowana „O duchowej mocy i Ładzie" zasługuje na najwnikliwszą uwagę wszystkich tych, którzy mają ambicję budowania kultury polskiej. Gruntowne analizy objawów sugestii i tradycji w wychowaniu i w nauczaniu (rozdział I-y), „mocy ducha krytyki i kontroli samego siebie" (rozdział II-gi), „mocy ducha twórczego i budowniczego" (rozdział III-ci), „idei Ładu społecznego" (rozdział IV-ty) [6]), głęboka krytyka doktryny reinkarnacji, psychologicznego i epistemologicznego solipsyzmu, głoszonego przez Spinozę i jego następców psycho-fizjologicznego paralelizmu, mistrzowskie analizy takich procesów psychicznych, jak powstawanie przekonań o prawdziwości lub nieprawdziwości sądów, sprawdzania twierdzeń, przekonywania kogoś o czemkolwiek, przeprowadzone są w sposób tak wnikliwy i wszechstronny, że dzieło to mogło by być prawdziwym instrumentem kultury filozoficznej, dla szerokich rzesz wykształconej inteligencji polskiej, dźwignią prawdziwą naszego duchowego odrodzenia się, bez którego wszelkie na materialistycznych przesłankach oparte usiłowania „podciągnięcia się wzwyż" będą tylko pustymi mydlanymi bańkami, które rozprysną się za lada silniejszym podmuchem wiatru ze wschodu lub zachodu.

Z wykształcenia prawnik [7]), profesor Rubczyński był przy swoich idealistycznych tendencjach umysłem wybitnie praktycznym, który swej znajomości życia konkretnego i jego potrzeb nie czerpał z książek i opowiadań, ale z bezpośredniego się z nimi zetknięcia w ciągu swej zgórą piętnastoletniej (jak to sam przyznaje w przedmowie do „Zarysu Etyki") praktyki prawniczej w różnych gałęziach administracji i sądownictwa, co mu, według własnych jego słów, pozwoliło wyrobić sobie sąd o wielu kwestiach społeczno-etycznych nie na podstawie pośredniej, z czytania i słyszenia,... ale na bezpośredniem starciu się i zżyciu z niejednym piekącym problemem walki o byt, organizację i prawo". „Taki zaś bliski kontakt z tentnem życia życia, mówi profesor Rubczyśski,

---

[1]) Por. „W miejsce przedmowy i dedykacji" jego Filozofii życia duchowego (Poznań 1925).

[2]) Wykład ten wyszedł w osobnej odbitce p.t. Walka o wszechstronny pogląd na świat. Kraków 1911 (str. 26).

[3]) Zarys Etyki, Kraków 1916 (str. 380).

[4]) Filozofia życia duchowego, jego wytrzymałość i ład w świetle doświadczenia i krytyki. Poznań 1925 (str. 764).

[5]) Por. przedewszystkiem I-szy rozdział jego „Filozofii życia duchowego" (traktujący „o związku zagadnień etycznych z metafizycznym"), który, podkreślając, że moralne odrodzenie się jednostek i społeczeństw może wyniknąć jedynie z prądów opartych na poczuciu wyższości wartości bezwzględnych, duchowych, kończy się stwierdzeniem, że wszelka metafizyka „musi obrać dla siebie za niewzruszony punkt oparcia osobowość daną w bezpośrednim doświadczeniu".

[6]) Prof. Rubczyński podkreśla (m. in.) że dobro społeczeństwa jako całości wymaga samodzielnego i możliwie najbardziej zróżniczkowanego rozwoju jednostek, co w dzisiejszych czasach usiłowania podciągnięcia wszystkich pod jeden strychulec (co właściwie nie jest wychowywaniem w ścisłem tego słowa znaczeniu, lecz tylko tresurą!) jest szczególnie zauważenia godne.

Motorem wychowania winno być, według prof. Rubaczyńskiego, rozbudzanie w jednostkach ducha miłości i czci dla najszczytniejszych idei. Najwyższą przedmiotowość, mówi Rubaczyński, znajdziemy w najpowszechniejszym altreiźmie.

[7]) Śp. Witold Rubaczyński był jednocześnie doktorem filozofii i doktorem prawa.

ustrzegł już wielu od konstrukcji zbyt sztucznych, choć ponętnych, ale wysnutych z góry, i naciąganych na oporną względem nich rzeczywistość". Nie rzeczywistość należy naginać do naszych opinii, lecz nasze opinie formować w oparciu o rzeczywistość — oto ostatnie słowo i testament metodologiczny prof. Rubczyńskiego.

Przy swej idealistycznej orientacji filozofia śp. profesora Rubczyńskiego jest filozofią nawskroś praktyczną, filozofią wyrosłą z refleksji na życiem konkretnym i jego potrzebami, filozofią, której nie tyle chodzi może o zewnętrzną tylko i sztuczną często „poprawność" i „naukowość" (osiąganą jakżeż często kosztem najbardziej istotnych treści!), ile przedewszystkiem o zestrojenie energii twórczych działających jednostek ludzkich dla przyczynienia się do „pomnożenia Ładu i mocy duchowej",

Który rodzaj filozofii spełnia lepiej swą wobec Boga i Ojczyzny służbę, który jest tylko usystematyzowaną grą igraszek słownych, a który prawdziwą, rzetelną i naprawdę godną tego miana filozofią, łatwo osądzić.

Pojmujący swą działalnsść filozoficzną za rodzaj służby publicznej, przy braku sił i zdrowia do innych zajęć[8]), przejęty żarliwym uczuciem religijnym, połączonym z jaknajwiększą miłością ludzi, skromny, prosty, przystępny, interesujący się do ostatnich chwil tętnem społecznego i ekonomicznego życia kraju i ostatnimi postępami w naukach przyrodniczych i fizycznych, które zdruzgotały mit materialistycznego ujmowania rzeczywistości[9]), szermierz idei wewnętrznego odrodzenia sił Narodu przez moralne odrodzenie się jednostek go składających, śp. profesor Rubczyński wystawił sobie jeszcze za życia trwały i piękny pomnik w sercach wszystkich czujących i myślących po polsku Polaków. Pamięć o Nim wśród nich żyć będzie wiecznie.

Łódź STANISŁAW CZAJKOWSKI

[8]) Przedmowa do „Zarysu Etyki", str. XIX.

[9]) W posiadaniu niżej podpisanego znajduje się parę listów śp. prof. Rubczyńskiego z przenikliwymi uwagami o „Ziemi Obiecanej" Reymonta i krytycznymi uwagami o następstwach filozoficznych mechanistycznego sposobu ujmowania rzeczywistości.

NAUKA I LITERATURA

„DRWAL I NIEDŹWIEDŹ"

Nowej poezji epickiej dawno już nie czytaliśmy. Panowała i panuje u nas jeszcze liryka osobista. Subtelne „prywatne" uczucia poetów w formie „awangardowej" były naogół nie do zniesienia w większych dawkach, niż 40 wierszy na jeden raz.

Społeczeństwo poczuło idiosynkrację do peipero-przybosiowej techniki poetyckiej, odwróciło się od wystaw księgarskich z poezją i spluwało z obrzydzeniem przed afiszami o recitalach awangardowych.

To też literaci poczęli szukać nowych dróg, próbować nowych metod. Zwrócono się do prozy. Gatunek poetyckiej groteski, wypranej i wyżętej z patosu, natomiast zaprawionej ironią i satyrą, uprawia z zamiłowaniem Anna Świrczyńska. Ona też przechodzi bez trudu do mowy niewiązanej. Marian Niżyński pisze ballady, którym zaszczepia pierwiastki akcji dramatycznej.

Zygmunt Ipohorski układa, narazie kurierkowe, dowcipy wierszowane, oparte na powiastkach i bajeczkach. Ten rodzaj trzeba rozwinąć. Nastręcza on największą bodaj możliwość wprowadzenia humoru do poezji, na co publiczność czeka oddawna, bo „koncept narodowy gaśnie". Rozumie to K. I. Gałczyński i stąd powodzenie jego satyr, w których na kanwie fabuły wije się żywioł liryczny i czają się przebłyski dramatyczności.

Taki płodozmian poezję odświeży i może nawet wzbogaci. To też z przyjemnością czytamy epicki poemacik Bąkowskiego, p. t. „Drwal i niedźwiedź".[1]) Trochę tylko mamy żalu do autora, że dysponując tak solidnym narzędziem formy opisowej, taki sobie skromny temat obrał. Gdyby akcja była nieco więcej skomplikowana i trochę ważniejsza, rzecz budziła by większe zainteresowanie. Może być doniosłość akcji historyczna, albo psychologiczna. Bąkowski obrał rodzaj, który dał by się pogłębić psychologicznie, przez co fakty opisywane wyzwoliły by się z piętna przypadkowości, urastając swym znaczeniem do jakiegoś symbolu. Naturalnie utwór epicki nie da się „pogłębić" bez przebudowania scenariusza, bez gruntowniejszej przeróbki.

Trzeba było „cud niedźwiedzia" jakoś uzasadnić psychologicznie, potrącić o moralność i, chociażby ludową metafizykę. Cuda, nawet gdyby to był wytwór wyobraźni chorego chłopa, nie dzieją się tak ni z tego, ni z owego. Mają swoje przyczyny i swą celowość i nie można tych rzeczy pominąć, jeżeli motyw ma mieć pełnię życia, a cała kompozycja — wysoką klasę literacką.

Zakończenie utworu jest słabe pod względem kompozycyjnym. Pogrzeb Piotra Smoły jest niepotrzebnym, nowym wątkiem, doczepionym do całości po to tylko, ażeby Mikołajowi nastręczyć okazję do zapytania księdza o los pośmiertny duszy niedźwiedzia.

Forma bardziej zewnętrzna, językowo-stylistyczna, stoi znacznie wyżej, niż budowa opowiadania. Właśnie język jędrny, rzeczowy, bogaty, ludowo-literacki (nie gwara) i styl, przedstawiający rzeczy w streszczeniu epickim przy użyciu dyskretnych, ludowych metafor — to są zalety, które wzbudzają trzy główne uczucia: 1) Zadowolenie przy czytaniu „Drwala i niedźwiedzia". 2) Żal, że autor nie pozwolił sobie na śmielszą i większą koncepcję. 3) Nadzieję, że kiedyś to zrobi. (td)

[1]) Stanisław Bąkowski, „Drwal i niedźwiedź", Biblioteka „Kameny", r. 1938, str. 20.

RUCH WYDAWNICZY

Julian Krzyżanowski. „Podania i bajki śląskie". Katowice 1938. Skład główny: Nasza Księgarnia — Warszawa. Str. 25.

Bardzo interesująca broszura prof. Krzyżanowskiego przynosi usystematyzowanie wątków bajkowych, nowelistycznych, legendarnych i t. p. w śląskiej poezji ludowej.

Wątki te, od dawna prawie zapomniane, odkrywane obecnie przez badania umiejętne, mieszczą w sobie bogactwo polskich tradycyj literackich i kulturalnych na Śląskiej ziemi. Stwierdzamy tutaj wyraźną łączność tematyki nietylko z analogicznem piśmiennictwem niemieckiem — co naturalne i zrozumiałe ze względu na bliskie sąsiedztwo — ale i z zasobem swojskich, naszych wyobrażeń ludowych. Czy to więc motyw diabła, co nie mógł z wiejską babą w bliższem pożyciu wytrzymać, czy opowieść lub dialog roztropnego acz „wielmi brzydkiego" chłopa z Królem (zazwyczaj Salomonem) albo sobótkowa powieść o synu wskrzeszającym matkę, czy inne (np. o Madeju) — wszystkie są znane nam w różnych odmianach z ustnej tradycji i w literaturze, a spotykane na Śląsku, w tamtejszych podaniach i baśniach.

Szczupła rozmiarami ale zasobna w treść praca świetnego uczonego, gruntownego znawcy powieści, zawiera szereg dezyderatów dla przyszłych, szczegółowych badań w zakreślonej tutaj dziedzinie — jak również i dyspozycję obszernego materiału.

St. J.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Alessandro Melchiori. *„Roma e Mosca". Roma 1937 ed. Luzzati*. Cena 5 lirów. Str. 108.

Niezmiernie barwne i niezmiernie żywe przedstawienie w dwunastu pełnych treści rozdziałach dwóch światów, świata wyrosłej z ducha cywilizacji łacińskiej i świata wschodniego barbarzyństwa. Symbolem materialnym pierwszej cywilizacji, świecznikiem dwudziestu pięciu wieków historii jest wieczne miasto — Rzym, gdy zbudowana „bez żadnego stylu i bez żadnego kryterium artystycznego Moskwa, zdaje się w owej chaotycznej konstrukcji odzwierciedlać duszę bolszewickiej Rosji.

Między tymi dwoma światami o żadnym kompromisie mowy być nie może, może być tylko walka nieubłagana, walka na śmierć i życie, która musi się skończyć zwycięstwem jednego lub drugiego świata (walkę tę obserwujemy naocznie w Hiszpanii). Każda jednostka, każde państwo musi opowiedzieć się za jedną lub drugą stroną. Nie, walczyć w sposób zdecydowany z wciskającym się w najbardziej przebiegły sposób do wszystkich dziedzin życia społecznego, ekonomicznego i kulturalnego bakcylem bolszewickiej zarazy, nie przeciwstawiać propagandzie bolszewickiej równie zdecydowanej propagandy narodowej — to gotować sobie los pogrążonej w chaosie Francji Bluma lub pławiącej się od dwóch lat prawie we krwi bratniej Hiszpanii.

Autentyczne, i dobrze wykonane fotografie martyrologii ludności sowieckiej (jakżeż wymowna jest ta tablica w parku publicznym z zakazem grzebaniu tu, w parku trupów!) oraz sadystycznych, okrucieństw popełnianych na bezbronnej ludności przez komunistów hiszpańskich przydają pracy p. Melchiori piętno aktualności i czynią z niej pierwszorzędny w swej nagiej grozie instrument w walce z bolszewicką zarazą. Dziełko warte przełożenia na polski.

(S. C.)

*

Wobec wzmożonego zainteresowania się osobą Kopernika (Morstin, Wasiutyński) nie od rzeczy będzie przypomnieć, że przed paru laty wyszło w Paryżu u Alcana wspaniałe wydanie „O obrotach ciał niebieskich" p. t. *„Nicolas Copernik: „Des Révolutions des Orbes Célestes". Traduction, avec introduction et notes par A. Koyré Disecteur d'études à l'Ecole Pratique des Hautes Etudes. Textes et Traductions pour servir à l'Histoire de la Pensée Moderne". Collection dirigée par Abel Rey*. Str. VIII + 154.

Z ciekawością bierze się do ręki tę przepięknie wydaną książkę i szuka się kwestii narodowości Kopernika. Otóż na str. 5 mówi autor, że Kopernik żył w tej epoce, w której nie znano w naszym znaczeniu poczucia narodowości. Trudno jednak przypuszczać, żeby Kopernik nie czuł żadnej przynależności wewnętrznej do narodu, żeby zadowalał się tym, iż był poddanym króla Polski i kanonikiem we Frauenburgu. Pisanie po łacinie nie będzie tu czynnikiem decydującym. Treściwa bardzo, pięknie i przejrzyście napisana przedmowa wprowadza nas w atmosferę owego wieku, w stosunki osobiste Kopernika, genezę jego pomysłów, stosunek jego idei do Ptolomeusza i t. d. Następnie idzie tekst niestety tylko pierwszej księgi i równocześnie przekład po francusku, wreszcie doskonałe uwagi końcowe. (J. Św.)

Z TEATRU

MICHAŁ BAŁUCKI

W TEATRZE NARODOWYM

MICHAŁ Bałucki po jednym z przodków swych odziedziczył w pewnym stopniu krew żydowską. Należał jednak do tych wyjątkowych, dziś już znacznie mniej możliwych, typów mieszanych, w których polskość, rozwijana w szczęśliwych warunkach, wzięła górę nad dziedzictwem semityzmu i przeważyła w twórczości literackiej.

Piotr Chmielowski „w Zarysie najnowszej literatury polskiej" ocenia przychylnie twórczość Bałuckiego, kierując się zasadą, że „zasługa pisarza mierzyć się u nas musi i teraz i zapewne długo jeszcze w przyszłości nie tyle doskonałością wykonania, ile rodzajem zasad i dążności przezeń szerzonych."

Od tego czasu życie duchowe polskiego społeczeństwa zmieniło się tak radykalnie, jak, dajmy na to, zmienił się ongiś klimat obszaru słowiańszczyzny po ustąpieniu lodowca. Bałucki wyrażał, mówiąc paradoksalnie, umiarkowanie — postępowego ducha swojego czasu. Zajmował się kwestją żydowską (Żydówka), co do której uważał, że więcej winy za nieporozumienia ponoszą chrześcijanie, niż „Polacy" wyznania mojżeszowego. Propagował modernizację kościoła katolickiego zredukowanie życia obrzędowego, zaprzestanie walki z Darwinem i Comteem; chciał, aby duchowieństwo zajęło się raczej „życiowymi" potrzebami ludu. Dziś te wskazania Bałuckiego wydają się conajmniej anachronizmem. Sprawa żydowska poszła w innym kierunku, który jej wyznaczyła konieczność dziejowa i nikt już dzisiaj nie zajmuje się rozdzielaniem win za „nieporozumienia." W kościele zaś katolickim mamy silny ruch liturgiczny. Darwin i Comte nie wywierają już znaczniejszego wpływu na moralną postawę warstwy inteligenckiej.

Inne poglądy Bałuckiego miały charakter aktualnej satyry. Kiedy wygasły, może nie ze szczętem, ale w przeważnej mierze, ówczesne problemy społeczne, zatraciły też poglądy Bałuckiego wartość wychowawczą, cywilizacyjną. Nabrały natomiast jego utwory, zwłaszcza komedie, uroku staroświecczyzny, a raczej uroku sztuki. Trwałym ich podkładem ideowym jest szlachectwo, niechęć do chudopacholstwa i typu nowobogackich, walka głęboko uczciwej duszy ze snobizmem i kabotynizmem, wreszcie pogląd, że w stosunkach społecznych winna zawsze brać górę uczciwość i prostota nad szachrajstwem i dyplomacją, miłość — nad wyrachowaniem, sumienność — nad modą, uzdolnienie twórcze — nad protekcją, użyteczność społeczna i wartość osobista nad „urodzeniem."

I oto dzięki czemu, w zakresie treści utworów — podoba nam się dziś Bałucki, dobry typ sarmaty z rzetelnym poczuciem demokratyzmu.

*

Debaty nad rodzajem literackim sztuk scenicznych Bałuckiego można bodaj rozstrzygnąć krótkim określeniem: półfarsa — półkomedia. Taki też charakter mają wystawione obecnie w Teatrze Narodowym „Gęsi i gąski." Większość swych utworów Bałucki poświęcił sferze inteligencji miejskiej i mieszczaństwa *par excelence*, t. j. „Uprzemysłowionego." Trzeba jednak mieć na względzie, że w „komediofarsach" Bałuckiego pojawiają się często typy przejściowe, a jeszcze częściej — spotykają się w nich i ścierają lub kojarzą przedstawiciele różnych warstw społecznych. Autor z upodobaniem każe swym najsympatyczniejszym bohaterom przezwyciężać „względy i urzędy" kastowe i stanowe. Takie właśnie pokrzyżowanie warstw i przezwyciężanie „względów" stało się źródłem komediowych konfliktów, komicznych przeciwieństw i bujnych wesołych sytuacyj w „Gęsiach i gąskach."

Rzecz została wystawiona b. starannie. Dawno nie widzieliśmy sztuki, w której by grało tylu naraz najwybitniejszych polskich artystów. Aleksander Zelwerowicz w znakomity sposób kreował rolę dzierżawcy Kłopotkiewicza. To była doskonałość koncepcji i potęga wyrazu i zapominało się o teatrze i Zelwerowiczu; był Kłopotkiewicz, naturalna, żywa indywidualność; Mieczysława Ćwiklińska wystąpiła w roli Cioci Belci, grając wspaniale i po swojemu, t. j. w sposób skupiony, opanowany, z dużym natężeniem świadomości. Zimne mistrzostwo, Józef Węgrzyn (Doktór Figurkowski) to arystokratyzm gry: wyrafinowanie, subtelność, szlachetność — każdego gestu i słowa. Wytworny jest także Jerzy Leszczyński (Pantaleon Durnicki, rotmistrz huzarów), ale w zupełnie innym stylu, miękki czarujący, całą duszą uśmiechnięty. Leon Łuszczewski grał Hulatyńskiego. Marian Wyrzykowski był nauczycielem Marzyckim. Ludwik Fritsche objął rolę emeryta u profesora Ciepiszewskiego. Na szczególne wyróżnienie zasługują jeszcze Janina Macherska, (Natalia, żona Figurkowskiego), Stan. Engelówna (Maria) i Zofia Niwińska (Joasia Kłopotkiewiczówna).

Sama sztuka jest nieświetna, ale znakomita obsada czyni z niej przemiłe widowisko, uderzając chwilami szampańską werwą i humorem. Reżyserował Al. Zelwerowicz. Dekoracje Stan. Jarockiego.

T. D.

Z SALI ODCZYTOWEJ

WSPOMNIENIE O STEFANIE MALLARMÉ

PAUL Hazard, członek t. zw. Instytutu i prof. *Collége de France*, uczony i pisarz (autor głośnego dzieła *„La crise de la conscience européenne*) wygłosił wspomnienie o jednym z najwybitniejszych francuskich symbolistów, poecie Stefanie Mallarmé.

W r. 1936 obchodzono w Paryżu 50-lecie symbolizmu, kierunku, którzy tak silnem echem odbił się w naszej sztuce, zwłaszcza w poezji z epoki młodopolskiej. Francuzi, którzy mają wiele kultu dla przeszłości, urządzili nawet przy tej okazji wystawę druków z okresu symbolizmu. A w roku zeszłym utworzono jakby Akademię imienia Mallarmé, do której między innymi weszli: André Gide, Paul Valéry i inni. Owa Akademia, jako odrębna instytucja ma swój lokal a w nim własną restaurację; wydaje gazetę i ustanowiła nawet nagrodę poetycką. Jeśli chodzi o zainteresowanie, symbolizm do dziś jest we Francji aktualny. Jego oceny, ze względu na zbyt małą perspektywę, podjąć się narazie trudno. W popularnem, nieco strywializowanem pojęciu najczęściej myli się symbolistów z dekadentami. Sporne do dziś są daty początkowe, jednakże r. 1886/7 uznawany jest niemal powszechnie.

Mallarmé wywodzi się z warstwy ubogiej ale kulturalnej burżuazji. Jego zwłaszcza początkowa linia życiowa nie zdaje się wróżyć kariery poety. Mallarmé studiuje anglistykę, jeździ nawet do Londynu, aby później niezmordowanie belfrować, zarabiając na życie prywatnemi lekcjami języka angielskiego. Nie znosi zresztą tego mało wdzięcznego i źle płatnego fachu, zawsze zapędzony, zgoniony wprost, chwilami niemal prześladowany zapotrzebowaniami, którym nie jest w stanie wydołać. W latach 1880—85 ustawicznie uczy, pisze podręczniki, potrosze zasila swemi utworami dzienniki i tak jakoś żyje po odrobince, ale bez szerszego naprawdę oddechu.

Poezją się nie zajmuje — nie ma na to czasu ..i pieniędzy, — co ważniejsze, gdyż musi zarabiać. To też tworzy drobne wierszyki reklamowe dla firm handlowych do dzienników paryskich. Te płody ..poetyckiego natchnienia rzadko odpowiadają swemu konkretnemu zadaniu, ze względu na formę symboliczną są to „adresy które mylą drogę poszukującym" (*les adresses qui déroutent les visiteurs*).

W szarem tle życia poety zdarzają się jednak akcety silniejsze, wewnętrzne wibracje, ucieczki w krainę piękna. One stanowią być może jedyny równoważnik przygnębienia będącego udziałem pokolenia zwyciężonych (po wojnie franko-pruskiej w latach siedemdziesiątych — i hańbie pogromu). Mallarmé godzi się jednak z życiem i ze społeczeństwem: ma żonę i córkę, jest nauczycielem, goni wciąż po redakcjach.

Bywają okresy zdegustowania czytelnika i twórców do t. zw. łatwizny w poezji. Mallarmé wyrzeka się tego: poezji łatwej, pokusy wszelkiej elokwencji. On, przeciwnie zabiera się do obróbki artystycznej od strony woli. Jego dewizą staje się wymaganie, że poeta nie może napisać czegoś, coby nie było doskonałe. Przezwyciężenie werbalizmu, wyrafinowanie od nowa oto znamiona tej arystokratycznej sztuki. Finezja tych wierszy polega na podsuwaniu uwadze czytelnika idei i sublimacji wrażeń, bez nazywania samego przedmiotu tychże i wyraźnego ich wskazywania.

W r. 1894 Mallarmé pisze „Hérodiade". Te melodyjne, wybitnie muzyczne wiersze składają się z samych jakby intencyj. A jednak jakże są wyraziste i pełne ekspresji. Natchnieniu towarzyszy wola, dokonująca niezbędnej w dziele sztuki eliminacji. Duża wartość obrazowania, zależna jest od intensywności odbicia idei, będącej odpowiednikiem obrazu.

Chodząc po ziemi, żył przecież poeta i przebywał w wyższym świecie, melodyj i wielobarwnych symfonii, marzeń i zwiewnych snów.

Dla współczesności nader istotne jest, czy w twórczości Mallarmé są pierwiastki trwałe, wartości wieczne, zdolne ocalić go przed pyłem zapomnienia. Nie mają racji ci, co twierdzą, że symbolizm był zjawiskiem wyłącznie przejściowem. Wystarczy zresztą skomponować choćby jedną strofę odbijającą wieczność, by przejść do potomności. Jeśli nawet niektóre symbole są dziś trudne do odcyfrowania, to przecież nie ginie wciąż ta sama muzyka wiersza. A ileż rozkoszy dla znawców w odgadywaniu zawiłych znaczeń. Wyszukaność metaforyki dobrze została spleciona z bogactwem wyobraźni.

W samym już pojęciu symbolu mieści się niewyczerpane bogactwo, jakby wizja pełna znaczeń. Bywają symbole subjektywne, dane z życia wewnętrznego poety, wieszczące o tem, co nieuchwytne w jego duszy. Jest to mowa tajemna, wyzwalająca n i e w y p o w i e d z i a n e naszego wnętrza. U niektórych symbolistów najwyższe wyrafinowanie osiąga jednocześnie całkowitą prostotę prymitywu, dzieło magii chyba i czarów, tak trudne na tym poziomie kultury.

Wyrazem jedności, związku w symbolizmie między poszczególnemi dziełami sztuki jest to, że np. takiej trójcy jak Valéry, muzyk Ravel i malarz — impresjonista Gustave Moreau, niepodobna zrozumieć oddzielnie, a tylko jako całość. Bowiem symboliści sprzęgli nierozerwalnie poezję z muzyką (tu zwłaszcza wpływ Wagnera — np. Jean Moréas). Potem znów symbolistom podlegli malarze z pokolenia impresjonistów — i w ten sposób fala rozeszła się ogromnem koliskiem. Jednocześnie doznała odnowienia poezja francuska, której na użytek nowoczesnego czytelnika właściwie nie było, gdyż mało czytanych i nie tłumaczonych na obcą mowę klasyków trudno tutaj brać w rachubę. Tymczasem, począwszy od Verlaine'a, Baudelaire'a i Mallarmé'go poezja we Francji odzyskuje swą pełnię uczuć i siłę wyrazu, poczyna być znów tłumaczona na wszystkie języki, wywiera wpływ na całość literatury, malarstwo, także na poezję zagraniczną.

Symbolizm, prąd literacki chyba najbardziej dla „elity", jest przecież żywy, artystyczny, pełen do dziś uroku śpiewności i muzyki.

St. J.

NA MARGINESIE

Polska wyprzedziła wszystkie kraje na świecie świetnością myśli politycznej

— Cóż się stało?

— Sanacja zniosła różnicę między prawicą i lewicą. W tak prosty sposób stara się osiągnąć ideał zjednoczenia narodowego.

— Co ty mówisz, przeżegnaj się!

— Nie mogę się przeżegnać, bo nie wiem teraz, która ręka prawa, która lewa.

*

— Czytałeś, że sekretarz generalny Akademii Literatury p. Kaden-Bandrowski obejmuje stanowisko dyrektora opery warszawskiej?

— I to wiem, że zastrzegł sobie wszystkie partie tenorowe.

— Aby tylko prezes Sieroszewski nie chciał zostać baletmistrzem. Tenby dopiero obsadził „Harnasiów"!

CZAS ODNOWIĆ PRENUMERATĘ NA

„MYŚL NARODOWĄ"

NA KWARTAŁ III

PRENUMERATA WYNOSI:

Całoroczna	zgóry	32 zł.
Półroczna	„ „	17 zł.
Kwartalna	„ „	9 zł.

Kwoty do 50 zł. przesyłać można bezpłatnie za pośrednictwem blankietów rozrachunkowych, które także można nabywać na poczcie w cenie 1 grosza.

Należy przypisać konto rozrachunku pocztowego Myśli Narodowej Nr. 98.

Konto czekowe P. K. O. 3105.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA, Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.